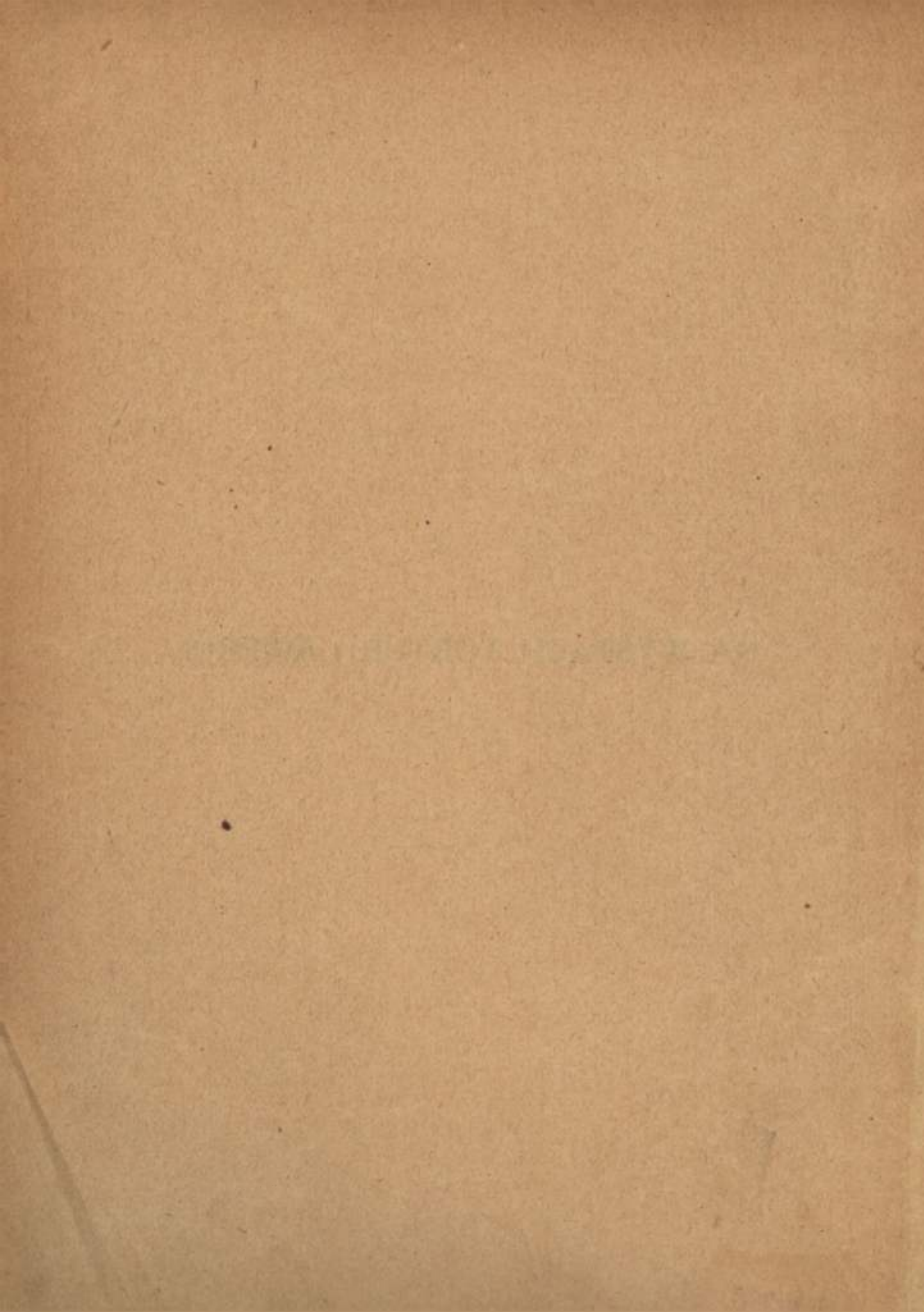


NA WYSPACH TORTUR I ŚMIERCI



5722p78
BIBLIOTECZKA SPOŁECZNA

Nr. 4

MIECZYŚŁAW LENARDOWICZ

NA WYSPACH TORTUR I ŚMIERCI
PAMIĘTNIK Z SOŁÓWEK

Bolesław Banach

WARSZAWA 1930
WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO-WYDAWNICZY

K:9925

A 10.025

Biblioteka
U.M.C.S.
w Lublinie



1000164635

*Zak. B - obcy
zakup - zakup
nr 501*

K. 985/55/96

lip

Pod koniec grudnia 1923 r. opuściłem Warszawę i wyjechałem do Rosji. W pierwszych dniach 1924 roku, znalazłem się w Mińsku litewskim. Pierwsze kilka dni musiałem spędzić w G. P. U., które w szczegółowy sposób „badało“, poci przyjechałem do Z. S. S. R.

Widocznie moje odpowiedzi nie zadowolniły całkowicie G. P. U., bo, choć wypuszczono mnie na wolność, oddano mię równocześnie pod srogi nadzór.

Odzyskawszy swobodę ruchów, zacząłem przyglądać się życiu Rosji komunistycznej. Ciekawość moja zapędziła mię wkrótce do klubu komunistycznego, im. Róży Luksemburg, gdzie poznałem wielu działaczy komunistycznych, a między innymi p. K., młodą i miłą powierzchowności osobkę, żonę funkcjonariusza mińskiego G. P. U. Pani K. również pracowała w G. P. U.

Po kilku miesiącach nawiązała się między nami nić sympatji i p. K. zaczęła mię darzyć zaufaniem, opowiadając mi często najdrobniejsze szczegóły nietylko ze swego życia prywatnego, ale także z tego, co się działo w G. P. U.

Od niej to dowiedziałem się, że polska sekcja komunistyczna w Mińsku pod przewodnictwem komisarza Mierzejewskiego, Witkowskiego i Bo-

guckiego postanowiła urządzić kilka najazdów dywersyjnych na terytorjum państwa polskiego. Bandy te miały napaść, spalić i obrabować miasteczka: Stołpce, Rubieżawicze, Raków i Raduszkowice. W skład tych band miała wejść miejscowa ludność i zbiegowie z Polski. Każdemu członkowi obiecano po 20 rubli i zapewniony byt na terenie Sowdepji.

Wiadomości p. K. spełniły się, choć niezupełnie, bo sowieckim zbirom udało się dokonać tylko napadu na Stołpce.

W czasie tego napadu ja już siedziałem w więzieniu sowieckim.

Jak się to stało?

Ot, poprostu! W pewien czerwcowy wieczór 1924 r. zajechało pod dom, gdzie mieszkałem, auto z czekistami. Wkrótce do mieszkania mojego weszło trzech uzbrojonych ludzi. Był to komendant G. P. U. w Mińsku Baranow, jego pomocnik Kresk, a z nimi sędzia śledczy, Peterson.

Ten ostatni pokazał mi rozkaz, pozwalający na przeprowadzenie rewizji i zażądał ode mnie oddania broni i jakichś wojskowych sowieckich rozkazów.

— Nie mam broni — oświadczyłem — i nie znam żadnych sowieckich rozkazów.

— Zobaczymy... co wykaże rewizja.

Zanim się obejrzałem, już się rzucono na moje rzeczy, miętosząc i prując je niemiłosiernie. Wkrótce pokój pokrył się pierzem — to gorliwy funkcjonariusz G. P. U. rozpruł poduszkę i szukał wśród pierza... broni i jakichś dokumentów wojskowych. Najwidoczniej wzięto mię albo za niebezpiecznego kontrewolucjonistę, albo za szpiega.

Rewizja trwała dwie godziny; nie było zakamarka, do którego by nie zajrzano, nie było rzeczy, którejby nie popruto. A broni i jakichś tam rozkazów nie znaleziono.

Na twarzach czekistów malowały się: zawód i wściekłość.

— Pójdziemy do G. P. U. — zwrócił się do mnie Peterson.

— Poco?

— Dla podpisania protokołu. Potrwa to najwięcej 15 minut, zapewniał Peterson.

Kiedy jednak samochód dowiózł nas do gmachu G. P. U. i gdy weszliśmy do gabinetu dyżurnego komisarza, Peterson uśmiechając się zjadliwie, zawołał:

— Mam cię, ptaszku, w swych rękach, nie wymkniesz się nam łatwo. Osadzić go w piątej „pojedynce“, w piwnicy Nr. 2.

W tej „pojedynce“ spędziłem trzy dni, aż Peterson łaskawie zawołał mnie do swego gabinetu.

— Jesteście oskarżeni o szpiegostwo na rzecz Polski, zawołał do mnie na wstępie. Radzę przyznać się do wszystkiego i podpisać ten oto protokół.

W protokóle tym spisano rzekome moje zeznania, których nigdy nie składałem, a które opiewały, że pełnię służbę szpiegowską na rzecz Polski.

— Protokołu tego nie podpiszę — odparłem — bo nigdy takich zeznań nie składałem i szpiegiem nie jestem.

Odpowiedź moja doprowadziła Petersona do wściekłości. Skoczył ku mnie i bijąc pięścią w stół, krzyczał, aż się w całym gmachu echo rozchodziło:

— My cię potrafimy zmusić do zeznań. Mamy cię w rękę, a sprawę sami znajdziemy...

Wzruszyłem ramionami, bo cóż na to było wściekłemu czekać na odpowiedź?

Wówczas Peterson zaprowadził mnie do komendanta G. P. U. i wskazując na mnie, rzekł do niego:

— Weź go i zapoznaj z naszym G. P. U.

Zaprowadzono mnie wówczas do piwnicy Nr. 2, rozkazano się rozebrać do bielizny i zamknięto w ciemnicy pełnej wody po kolanach. Tu przesiedziałem trzy dni, drżąc z zimna. Ile przez te trzy dni przecierpiałem, trudno opisać. O tych cierpieniach będę całe życie pamiętał.

Po trzech dniach wyprowadzono mnie z tej kąpieli, ubrano w suchą bieliznę, oddano ubranie i zaprowadzono do Petersona.

— Jak ci się podoba nasza sowiecka wanna? — spytał, śmiejąc się szatańsko.

— Wasze wanny są straszne — odpowiedziałem — ale nie zmuszą mnie one do podpisania protokółów, w których są fałszywe zeznania.

Peterson, zgrzytając zębami, zawołał:

— Zobaczmy, spróbowałeś pierwszej przyjemności, a mamy ich wiele.

Ponieważ Peterson nie zdołał zmusić mnie do podpisania wspomnianego wyżej protokołu, odprowadzono mnie ponownie do piwnicy i zamknięto w szostej pojedynce. Była to celka mała, ciemna, bez okien, o długości dwu, a szerokości jednego łokcia. Trudno się było w niej poruszać. Później dowiedziałem się, że celę tę zwano celą śmierci, bo stąd szli ludzie na śmierć. Na każdej niemal cegle widniały



krzyże z napisami ś. p. i nazwiska, przeważnie polskie.

Z tej celi mnóstwo Polaków poszło wprost na śmierć.

Przy wieczornym apelu komendant polecił dozorczy, aby do mej celi nie dawał światła; to też pobyt w tej celi odczułem bardziej, niż w poprzedniej „wannie”. Chmara szczurów z piskiem przebiegała koło mnie. Gdy się kładłem spać, musiałem marynarką zasłaniać twarz przed temi wstrętnymi stworzeniami. Niejednokrotnie zjadały one mi szczupłą porcję chleba. Jeśli dodam do tego, że władze więzienne zabroniły mi nawet spaceru, to łatwo można sobie wyobrazić, jak ciężkie chwile przeżywałem w tej ciemnicy.

Postępowanie bolszewików oburzało wszystkich więźniów, a zwłaszcza kobiety, które płacząc prosiły starego dozorczy, Estończyka, aby choć na chwilkę w nocy otwierał drzwi do mojej celi i wpuszczał trochę świeżego powietrza. Staruszek czasem spełniał prośbę aresztantek i o północy odświeżał celę.

Po dwudziestodniowym pobycie w ciemnicy zawezwano mię do Petersona.

— Czy szczury nie odgryzły ci uszu? — zapytał cynicznie Peterson.

— Nawet szczury rozumiały, iż jestem niewinny i nie ruszyły mnie — odparłem.

W tym momencie do pokoju Petersona wszedł Apański, zastępca naczelnika G. P. U. i Sawicki, sędzia śledczy. Sawicki począł mnie przekonywać po polsku, abym przyjął akt oskarżenia i podpisał go.

— Radzę ci to z dobrego serca. Jeśli protokół podpiszesz, cała sprawa skończy się dla ciebie dobrze; w przeciwnym razie czekają cię duże przykrości, — namawiał mnie obłudnie Sawicki.

— Jestem niewinny! Pocóż mam podpisywać zeznania, których nigdy nie składałem?!

Słyszając to Apański, rzekł po rosyjsku:

— Skoro się nie chce przyznać do winy, za co mogliśmy mu darować życie, to w takim razie rozstrzelajmy go.

Odprowadzono mnie do piwnicy i zamknięto w celi, w której przedtem siedziałem. Teraz już nie czekałem długo na nowy kawał bolszewicki. Po upływie dwu godzin rozległ się na podwórzu G. P. U. warkot motoru samochodowego. Otworzono moją celę, do której wszedł Baranow i, poleciwszy mi zabrać rzeczy, zawołał:

— Marsz na podwórze!

Rozkaz jego skwapliwie wykonałem, gdyż miałem dość ciemności, szczurów i innego robactwa, które gnębiło mnie w niesłychany sposób.

Równocześnie z celi Nr. 7 wyprowadzono jakiegoś starszego więźnia, który, jak się później dowiedziałem, nazywał się Kruglański. Gdyśmy znaleźli się w podwórzu, wsadzono nas do samochodu; obok nas zajęli miejsca Baranow, Apański, Peterson i dwu krasnoarmiejców. Samochód ruszył poprzez ulicę Mińska i zawiózł nas do t. zw. Komorówki, miejsca straceń, gdzie spoczywają setki Polaków, rozstrzelanych przez bolszewików.

Gdy samochód dotarł do zagajnika, kazano nam wyjść z samochodu i popędzono w głąb lasu. Wkrót-

ce dotarliśmy do miejsca, gdzie widniały świeżo wykopane doły.

Gdy nas ustawiono nad niemi, tak że nam zajrzały w oczy ich czeluście, Peterson przemówił do nas uroczyście.

— Życie wasze leży w waszych rękach. Wybierajcie: przyznanie się do winy, albo kulka w łeb! Jeśli się przyznacie, sąd proletarjacki może wam karę śmierci zamienić na 10 lat ciężkiego więzienia.

Spojrzeliliśmy po sobie, a potem, mimowoli, każdy z nas zajrzał w głąb jamy. Czy to ma być mój grób — przemknęło mi przez głowę. Wkrótce jednak opanowałem się: — wszak to jeszcze jeden sposób G. P. U., używany do wymuszania zeznań dogodnych dla władz sowieckich!

— Jestem niewinny — zawołałem. — Nie podpiszę protokółu z fałszywymi zeznaniami.

— I ja także, zawołał blady jak płótno Kruśliński.

Peterson zdumiał się, również zdumienie odmalowało się na twarzach innych zbirów.

— Rozstrzelać ich! Baranow, pal im prosto w łeb! — wrzasnął Peterson do Baranowa, stojącego poza naszymi plecyma.

Zanim myśl moja zdołała zareagować na ten wściekły rozkaz Petersona, padły dwa strzały. Kulka świsnęła mi koło uszu i runąłem do dołu.

Wielki strach mię ogarnął, trząsnęłem się jak w febrze, serce kołatało w piersiach rozgłośnie, a puls w skroniach biły, jak młoty kowalskie. Cały byłem w potach! Jednak widziałem i czułem!

— Chybili mię, przemknęło mi przez myśl.

Nagle nad nami rozległ się śmiech naszych katów. Rechotali iak diabli w piekle, gdy im się uda chrześcijańskiej duszy dokuczyć.

Zrozumiałem wówczas cała te egzekucie nad nami. Było to t. z. sztuczne rozstrzelanie. stosowane bardzo często przez katów bolszewickich, aby zmusić więźniów do fałszywych zeznań. I do nas ten system zastosowano. Żwiemy więc! jesteśmy na tej ziemi. choć w łapach bolszewickich!

Podniosłem się i obeirzałem wokół siebie. W dole gramolił się moi towarzysze. Ale czy to ten sam? Przecież Kruglański nie był siwym, a człowiek, który leżał w dole i próbował powstać. miał słowe hieluteńka. Osiwiał biedak z wrażenia, przemkneło mi przez myśl.

— Wychodzić z dołu! — zagrzmiął nad nami głos, rechoczącego z szatańskiej uciechy, Petersona. — Predzej.

Dźwionałem się, i pomagając Kruglańskiemu, wszedłem z jamy. Ale, gdy staneliśmy przed naszymi katami, rzucili się oni na nas i okładali nas rękoiściami rewolwerów i kolhami karabinów. bili tak długo, aż okrwawieni i posiniaczeni leżeliśmy nienrztotni u ich stóp. Nawpół żywych rzucili na samochód, zakryli plandeka i powieźli do G. P. U. Tu nas wtrącono ponownie do piwnicy.

Gdy na drugi dzień ocknałem się w celi Nr. 7, nie mogłem się ruszyć, aby nie sprawić sobie bólu. Wszvstkie członki bolały mie okropnie, twarz i ręce pełne były zakrzepłej krwi. Jeszcze gorzej przedstawiał się stan biednego Kruglańskiego, którego również wrzucono do celi Nr. 7. Biedak, który, jak

wspomniałem, posiwiiał jak gołęb, dostał pomieszania zmysłów!

Oto skutki badania proletarjackich sądów bolszewickich! Prześcignęły one w swych łajdackich sposobach metody żandarmów carskich, o których również krążą legendy po całym świecie.

Po paru dniach, gdyśmy się jako tako wylizali z ran zadanych nam przez czekistów, do celi naszej wtrącono niejakiego Antoniego Miljanowicza. Zanim dostał się do więzienia, Miljanowicz był współpracownikiem G. P. U.

Wysłano go w celach szpiegowskich do Polski. Ponieważ Miljanowicz nie wykonał zadania, jakie mu powierzono, więc po powrocie do Sowdewii, szybko znalazł się w więzieniu. O stosunkach Miljanowicza z G. P. U. nie wiedziałem, wiadomość o tem doszła do mnie znacznie później.

Wspominam o Miljanowiczu, bo odegrał on pewną rolę w mojem życiu.

Doprowadzony do rozpaczki postępowaniem czekistów, planowałem ucieczkę z więzienia G. P. U.

W plan ten wtajemniczyłem Miljanowicza i Józka Sablińskiego, którego znałem jeszcze z Warszawy. Jak się później okazało, Miljanowicz zawiadomił o wszystkim czekistów.

Dowiedziałem się o tem, gdy mnie wezwał do siebie Peterson. W gabinecie jego zastałem całą bandę czekistów: Baranowa, Apańskiego, Damberga, Pika, Sawickiego, Dianulisa, a nawet samego naczelnika G. P. U., Niedźwiedzia.

— Z kim uknułeś plan ucieczki? — zapytał mię ostro Peterson.

Włot zrozumiałem, że jestem zdradzony, odrzekłem:

— Ja? Plan ucieczki? Nie rozumiem, o co chodzi...

— Jakto?! Przecież opracowałeś cały plan, — podjął Apański i w kilkunastu zdaniach wyłożył go na stół.

Zaatakowali mnie i inni czekałsi. Posypały się pytania krzyżowe i groźby. W sposób jednak stanowczy zaprzeczałem, jakoby planowałem ucieczkę.

Zdziwieni czekałsi wprowadzili na salę Miljanowicza.

Peterson zaczął mu stawiać pytania, a Miljanowicz śpiewał, jak z nut, sypiąc mnie w najdrobniejszych szczegółach.

— Cóż ty na to? — zapytał mnie Peterson.

Wszystko to nieprawda. Miljanowicz łże.

— Jakże mogę łgać, kiedyś mi to mówił — krzyknął Miljanowicz.

— Ach, ty szubrawcze! — wrzasnąłem na niego po polsku... I zanim się czekałsi spostrzegli, chwyciłem marmurową suszkę z biurka Petersona i z całej siły grzmotnąłem nią w mózgownicę Miljanowicza. Zdrajca natychmiast runął na ziemię. Ale tymczasem zerwała się cała banda czekistów i w pokoju podniosło się istne piekło. Posypały się na mnie uderzenia; każdy z nich bił mnie, czem mógł: jedni krzesłami, inni rekojeściami rewolwerów, inni jeszcze pałkami. Pokrwawiony i potłuczony padłem bez zmysłów na ziemię. Później dowiedziałem się, że badano Jóźka Sablińskiego, ale ten kategorycznie się wyparł, jakoby coś wiedział o ucieczce.

Po zaprzeczeniu Sablińskiego czekał nie wiedzieli, co myśleć o zeznaniach Miljanowicza. W końcu przyszli do przekonania, że Miljanowicz, chcąc zasłużyć na dobrą opinię, sam wymyślił plan ucieczki i oskarżył mnie fałszywie o nią. To też dano nam wszystkim trzem baty i rozsadzono po różnych celach.

Tak więc, na niczem skończył się nasz plan ucieczki z G. P. U., a szkoda, bo, gdyby się udała, uratowalibyśmy 108 osób, w tem 29 kobiet i 79 mężczyzn przeważnie narodowości polskiej. Uniknęliby smutnego losu, który ich czekał. Wkrótce bowiem 40 z nich rozstrzelano, a reszta otrzymała kilkuletnie wyroki. Ale i zdrajca Miljanowicz nie na swej zdradzie nie zyskał. Wkrótce czekał wyciągnęli mu jakieś nowe grzechy i skazali go na śmierć. Tak się skończyła jego karjera szpiegowska w służbie sowieckiej.

W początkach sierpnia tegoż roku przeniesiono mię z więzienia G. P. U. do centralnego więzienia w Mińsku. Jednocześnie zawiadomiono mię, że sprawa moja została oddana do zaocznego sądu kolegium O. G. P. U. w Moskwie. W centralnem więzieniu mińskiem miałem czekać na wyrok tajnego sądu.

Tu osadzono mię w celi Nr. 2, gdzie zastałem już kilku Polaków, siedzących od dłuższego czasu, oskarżonych o szpiegostwo. Wkrótce zaprzyjaźniłem się z nimi, a szczególnie z Kaźkiem i Włodkiem (nazwiska ze względów wiadomych pomijam) Byli oni żołnierzami polskimi, którzy, chcąc odwiedzić swe rodziny na Białorusi, przeszli w okresie Wielkiejnocy nielegalnie granicę polsko-sowiecką.

Po krótkim pobycie w domu rodzinnym zostali areztowani i odstawieni do więzienia mińskiego. Oskarżono ich o szpiegostwo na rzecz Polski, a sprawę ich oddano do zaocznego sądu w Moskwie.

Dziwiącego września zawezwano nas wszystkich trzech do kancelarji więziennej przed oblicze czekisty mińskiego Pika, który nam odczytał wyrok zaocznego sądu. Wysłuchaliśmy go wszyscy z ciężkiem sercem, był to bowiem wyrok okrutny. Każdego z nas skazano na trzy lata ciężkich robót na wyspach Sołowieckich.

— Za co — pytaliśmy siebie wzajemnie — spotyka nas tak ciężka kara. Chyba tylko zato, że jesteśmy Polakami i nie uważamy się za czekistów.

Przed nami teraz rysowała się b. ciężka przyszłość. Wyspy Sołowieckie miały ustaloną sławę wśród wszystkich więzień sowieckich. Już same ich nazwy: „Wyspy tortur i śmierci“, dosadnie malowały ich przeznaczenie. Cóż jednak było robić?

Koło dwudziestego września kazano nam zabrać wszystkie manatki i wyprowadzono nas na podwórze więzienne. Tu stał już silny konwój, który nas natychmiast otoczył i ustawił w czwórki. Naczelnik konwoju zarządził apel — okazało się, że partja liczy 72 więźniów. Pouczono nas, że w marszu nie wolno rozmawiać, nie wolno palić, ani trzymać rąk w kieszeni. Za próbę ucieczki — kula w łeb.

Kiedy już załatwiono wszystkie formalności, rozległa się komenda:

— Konnica szable w dłoń! Piechota wydobyć naganę (rewolwery)! Partja krokiem marsz!

Z ciężkiem sercem ruszyliśmy w nieznaną przyszłość.

Co nas czeka? Czy wrócimy z tych wysp tortur i śmierci? Czy oglądać będziemy Polskę, Warszawę? Łzy zakreśliły mi się w oczach... Przed oczyma stanęli mi, jak żywi, staruszkowie rodzice. Po krótkim marszu przez ulice miasta. stanęliśmy na dworcu. Zapakowano nas do wagonu. Zbici, jak śledzie w beczce (wagon miał 48 miejsc, a nas było 72-ch), po południu ruszyliśmy z dworca mińskiego. O północy przybyliśmy do Orszy, gdzie nas 26, przeznaczonych na Sołówki, oddzielono i wpakowano do miejscowego więzienia. Tu parę dni czekaliśmy na nową partję skazańców. Pewnego wieczoru znowu zapakowano nas do wagonu i ruszyliśmy w stronę Witebska, gdzie znowu odwiedziliśmy miejscowe więzienie. Tu przyłączono do nas nową partję skazańców. Z kolei czekała nas podróż do Leningradu b. stolicy carów.

Do Leningradu przybyliśmy wkrótce po jesienym wylewie wody. Wiele ulic leningradzkich, niżej położonych, stało pod wodą. Gdy nas wyładowano z wagonów i pedzono do przejściowego więzienia Nr. 2, natrafiliśmy na ulicę, gdzie woda sięgała jeszcze do kolan. Trzeba było brnąć przez nią, ochraniać bagaże i pomagać koleżankom aresztantom w dźwiganiu ich rzeczy. To też źle się w mojej pamięci zapisał ów marsz przez b. stolicę carów. Przyjęła ona nas niegościnnie i ponuro...

W więzieniu przejściowym zrewidowano szczegółowo nasze bagaże i ubrania i osadzono w celi Nr. 4, dużej i widnej, ale nabitej po brzegi 150-ma więźniami. Tu „odpoczywaliśmy“, jeśli mordegę w przepelnionej sali można nazwać odpoczynkiem,

kilka dni, aż partja, przeznaczona na Sołówki, urosła do 240 skazańców.

Z Leningradu ruszyliśmy w kierunku Murmanna.

Trzynastego października przybyliśmy do Komi nad Białym Morzem, punktu przejściowego do t. zw. Popowej wyspy. Wprost z wagonów pomaszerowaliśmy do obozu kamskiego. Gdyśmy się tam znaleźli, na podwórzu „powitał“ nas w oryginalny sposób naczelnik obozu w towarzystwie starosty. Odczytał on nam mianowicie t. zw. sołowiecka „litanję“, która zawiera przepis, jak więzień na Sołówkach ma się zachowywać. Kazano nam zapomnieć o dawnych więzieniach, gdyż tu na Sołówkach mieści się obóz koncentracyjny o specjalnem przeznaczeniu dla więźniów, skazanych na roboty przymusowe.

— Tu nie niema waszego. tu wszystko sowieckie — śłosił donośnie komendant obozu. Kto ośmielił się odmówić w pracy, lub będzie udawał chorego, ten będzie srodze karany. Wolno mi was rozstrzelać w każdej chwili za nieposłuszeństwo.

Musze wyznać, że ta „litanja“ nie zrobiła na mnie miłego wrażenia. Była ona zapowiedzia przyszłych mąk, jakie czekały nas wszystkich. Po odczytaniu „litanji“ podzielono nas na grupy i rozmieszczono w poszczególnych barakach.

Były to właściwie brudne i cuchnace budy o dachach dziurawych, przez które przeciekała woda. Leżeliśmy na brudnej od błota i mokrej od deszczu podłodze, drżąc z zimna. Trudno było spać w takich warunkach, jednakże zmeczenie wzięło górę i wkrótce zasnęliśmy snem sprawiedliwych. Dwa

dni trzymano nas w Komi o głodzie i chłodzie. Zapasy chleba, jakie otrzymaliśmy w Leningradzie, dawno się już wyczerpały, a komendant obozu w Komi nie uważał za stosowne zająć się naszymi żołądkami. Widocznie uważał za swój obowiązek przygotować więźniów do gorszych warunków, które ich czekały na wyspach Sołowieckich.

Po dwu dniach zapakowano nas na okręt pod nazwą „Glebbnoki“ i przewieziono na wyspę Sołowiecką.

Wyspa Sołowiecka długości 30 kilometrów i 15 szerokości leży na Białym Morzu w odległości 67 kilometrów od Komi. Przed kilkuset laty zbudowano tu klasztor, który podobny był do wielkiej i mocnej twierdzy. Zbudowano go tuż nad morzem. Oprócz klasztoru stoją tu jeszcze domy klasztorne t. zw. „skity“. Jest ich na wyspie trzy: Sałatjewo, Maksulma i Siekierna Góra. Poza tem na wyspie jest kilka chutorów: Isakowo, Stara Sosnowa Tonia, Nowa Sosnowa Tonia, Owsienka, Biżuza, Treszczonka, Rehelda, Filmanowo i Brzozowa Tonza.

Przed rewolucją bolszewicką wyspę tę zamieszkiwali mnisi. W roku 1922 przyjechał tu osławiony zbrodniami Feliks Dzierżyński, główny komendant czerezwyczajki; mnichów przepędził i zabrał wyspę i klasztor na więzienie. Wyspę podzielono na cztery obozy: pierwszym oddziałem jest klasztor, podobny do starej twierdzy; drugim — Sałatjewo; trzecim — Maksulma; a czwartym — Siekierna Góra. Ale oprócz wyspy Sołowieckiej Dzierżyński przeznaczył na ciężkie więzienia i sąsiednie wyspy: Kont, odległą o 120 wiorst od Sołowieckiej wyspy,

i nazwaną piątym oddziałem północnego obozu; wyspę Anzer, wyspy Zajęcze, Miak i Mudiuk.

Po dwóch latach, gdy wyspy te nie pomieściły wszystkich więźniów, skazanych na katorgę, Dzierżyński przeznaczył na obozy całe pobraże Murmańskie.

Skazańców używa się tu do różnych robót i budowania dróg przez lasy i błota. Ponieważ klimat dla ludzi doń nieprzyzwyczajonych jest trudny do wytrzymania; tysiące ludzi ginie przy robotach przymusowych.

W kraju tym panują straszne choroby: cynga ¹⁾, grzyb i malarja. Najstraszniejsze są jednak dla nieszczęsnych więźniów tortury, jakie wymyślają dla nich czekiści sołowieccy. Wkrótce przypatrzymy im się dokładnie...

*

*

*

Po przybyciu na wyspę Sołowiecką powitał nas rześisty deszcz. Zmokliśmy do nitki, zanim dotarliśmy do t. zw. Kremla a byłego klasztoru. Starosta Kremla, który przejął nas od konwoju pod swoją „opiekę“, skierował nas na „salę“ 11-ej kompanii roboczej. Z wielkim trudem wcisnęliśmy się do sali, w której choć była względnie obszerna, znajdowało się przed naszym przybyciem już 460 więźniów. Trudno było się w tej ciżbie ruszać, a już na nadzwyczajny wysiłek trzeba było się zdobyć, aby wywalczyć sobie jaki taki kącik na brudnej podłodze. Prawie jedni na drugich leżeli. Jakie w tej „sali“ panowa-

¹⁾ Szkorbut.

ł o p o w i e t r z e, nietylko trudno opisać, ale nawet sobie wyobrazić. W każdym razie było ono stokroć gorsze, aniżeli w publicznych ustępach...

Na brudnej podłodze, cisnąc się wzajemnie, leżały istoty, a raczej cienie ludzkie. Było to wszystko brudne, oberwane, okryte strzępkami najprzeróżniejszych łachmanów zasmarowanych i pomiętych, jakby ze śmietnika wyciągniętych. W oczach każdego czaiła się gorączka, a na ziemistych obliczach malowało się ostateczne wycieńczenie. Łachmany ludzkie!... Odpadki społeczeństwa!...

Niezbyt mocno poruszyło ich nasze przybycie — tak już stępieli na wszystkie przejawy życia. Większość tych ludzi zrezygnowała już ze wszystkiego, czekając cierpliwie na śmierć, jako ukoicielkę i pocieszicielkę.

Ten widok ludzkiej nędzy i ostatecznego poniżenia podziałał na mnie i moich towarzyszy w sposób okropny. Czy i nas zepchną katy sowieckie do poziomu tej zmiażdżonej masy? Dreszcz mię przeniknął na samą myśl o tem.

Wtem nagle rozległa się komenda:

— Kompanja bacność!

Na środku sali wykrzykiwała nędzna figura dowódcy kompanji.

— Na ile dni — zwrócił się do nas przybyłych — otrzymaliście żywność, jadąc do Sołówki?

— Na pięć dni — odpowiedział jeden z przybyłych. — Ponieważ w podróży byliśmy osiem dni, więc należą się produkty, zaległe za trzy dni.

— Zaległe? Na Sołówkach zaległe? A kułak w mordę, takie syny!

Oniemieliśmy wszyscy.

— Rozejść się! — wrzasnął nam na pożegnanie „przemily“ komendant kompanji.

Odetchnęliśmy nieco, choć rozejść się było trudno, boć miejsca w lokalu kompanji nie było, jak już pisałem, za dużo.



Nie dano nam jednak spocząć za długo. Po trzydziestu minutach znowuż rozległa się komenda „baczność“. Na salę wtoczył się pijany, ledwo trzymający się na nogach, czekista i zbliżył się do dowódcy kompanji. Obaj „dostojnicy“ poszeptali coś

między sobą. Z narady tej urodził się łąjdacki pomysł.

— Nowoprzybyli, wychodzić na podwórze — zakomenderował dowódca kompanji. Tam wam wydadzą chleb.

Ponieważ każdemu z nas kiszki porządnego grały marsza, więc rzuciliśmy się w kierunku podwórza, gdzie ustawiono nas w dwuszereg; padła komenda:

— Odlicz!

— Raz, dwa, trzy, cztery...

Gdy sprawdzono, ilu jest w oddziale, otoczyło nas kilku uzbrojonych czekistów, a dowódca ich — ów pijany czekista, zawołał:

— Marsz na roboty!

— Głodni jesteście! Od trzech dni nic nie jedliśmy — zawołaliśmy jednogłośnie.

— Ja was nakarmię s....y syny! A w mordę kułakiem chcecie?

Po tym okrzyku rozwścieczony czekista rzucił się w naszą stronę i zaczął okładać więźniów kułakami po twarzy.

— Ja was, gady, nauczę sołowieckiej dyscypliny! Chleba im się zachciało! A w mordę kułakiem nie łaska, wykrzykiwał czekista, pastwiąc się kolejno nad każdym.

Wśród poniewieranych więźniów było 19 starców, a między nimi siedmiu popów.

Jak się później dowiedziałem, ów wściekły czekista nazywał się Sokołow. Był on słynny ze swoich okrucieństw na tych wyspach.

Popędzono nas na przystań i kazano nam wyładować z barki „Klara Zetkin“ 3300 pudów węgla

i przenieść go o 250 metrów od przystani. Na 22 ludzi była to robota ciężka, tem bardziej, że łał rześisty i zimny deszcz, wdzierający się strumieniami do barki. Pracowaliśmy około 25 godzin bez przerwy i odpoczynku. Pędzono nas nieustannie, nie pozwalając nawet zapalić papierosa. Gdy ktoś ośmielił się przystanąć choć na chwilę, wnet spadały na niego kolby karabinów zaciekłych czekistów. Tak to wygląda 8-mio godzinny dzień pracy w Sowietach.

Był to pierwszy dla mnie dzień przymusowych robót w katordze sowieckiej na wyspach Sołowickich. Pamiętać go będę całe życie. Padałem ze znużenia, goniłem ostatkiem sił, sen kleił mi powieki, ale musiałem pracować, bo w każdej chwili kolba karabina mogła mi roztrzaskać głowę.

Po 25-godzinnej męce odprowadzono nas do kompanji i wydano nam chleb na trzy dni naprzód. Tak jednak wszyscy byliśmy wygłodzeni, żeśmy go zjedli natychmiast. Po posiłku zabraliśmy się do suszenia ubrania i bielizny, każdy bowiem był przemoknięty do nitki.

Niedługo jednak pozwolono nam odpoczywać. Po czterogodzinnej przerwie popędzono nas do jeziora Piert, odległego o 3 km od Kremla, i tu kazano nam wyciągać z wody na brzeg rozbite tratwy. Znowuż przemoczyliśmy się do nitki. A przecież to było w jesieni! Cóż jednak czekistów mogło obchodzić nasze zdrowie?! Ba! naumyślnie planowali takie roboty, aby nas wpędzić w choroby i zniszczyć fizycznie.

Po dwu tygodniach takiej pracy (trwała ona przeciętnie 16 godzin na dobę), przeniesiono mnie wraz z wspomnianymi wyżej Włodkiem i Kaźkiem

do kopania mogił. Ponieważ na wyspie Sołowieckiej, którą słusznie zwą wyspą tortur i śmierci, więźniowie mrą jak muchy, więc zawczasu przygotowuje się dla zmarłych kilkaset mogił.

Partja więźniów przeznaczona do kopania mogił liczyła 26 ludzi. Każdy z nas obowiązany był wykopać po dwa doły dziennie. Było to zadanie bardzo ciężkie, bo grunt na wyspie Sołowieckiej jest skalisty.

Kto nie wykopał dwu dołów dziennie tego czekało zamknięcie na t. zw. Siekiernej Górze, która była postrachem dla wszystkich więźniów. Na jej 250-metrowym szczycie stała bardzo stara cerkiew murowana, o podłodze asfaltowej bez szyb i drzwi, to też zimno tu było jak w lodowni. Wewnątrz cerkwi nie było żadnych urządzeń: ani nar, ani stołków, ani ławek lub innych sprzętów. Kto został zesłany na pobyt w Siekiernej Górze, temu odbierano ubranie i koce i wpuszczano go do cerkwi jedynie w bieliźnie.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie męki znosili więźniowie w zimnej nawie cerkwi, szczególnie w jesieni i zimie. Biedacy chronili się, jak mogli, przed zimnem. Gdy zbliżała się noc układali się stosem jeden na drugim, aby tym pod spodem było cieplej. Od połowy nocy zmieniali się: ci co byli na wierzchu szli pod spód, a ci z pod spodu szli na górę. Nie zawsze jednak pomagało takie ogrzewanie własnem ciałem. Często na wierzchu znajdowano zmarzniętych na śmierć, a pod spodem uduszonych od nadmiernego ciężaru.

Takie to męki znosili więźniowie na wyspie Sołowieckiej. Pod groźbą takich to mąk dobywaliśmy

z siebie resztki sił, aby się nie dostać na Siekierną Górę.

W kompanji, która kopała groby dla przyszłych zmarłych, zastałem dwu Polaków. Jeden z nich nazywał się Roman Napolski 28-mio letni student z czwartego roku medycyny uniwersytetu warszawskiego; drugi nazywał się Franciszek Dec, były podoficer z armji polskiej. Dec pochodził z ziemi łomżyńskiej i miał wówczas 26 lat. Zaprzyjaźniłem się z nim wkrótce. Ponieważ przebywali oni na wyspach Sołowieckich od 1923 roku, więc znali znakomicie stosunki w obozie.

Napolski opowiedział mi dzieje swojego pobytu na wyspach Sołowieckich. Ponieważ opowiadanie jego w bardzo dobitny sposób maluje stosunek czekistów do więźniów, pozwolę sobie więc przytoczyć go czytelnikom.

— Ponieważ — opowiadał Napolski — byłem medykiem czwartego kursu, a na Sołówkach brak było lekarzy, przeznaczono mię, po przybyciu na SołóWKi, do szpitala. Niedługo jednak w szpitalu pracowałem, bo za wyrażenie protestu przeciw strzelaniu czekistów do więźniów eserowców zapędzono mię do kopania mogił.

— Jak to było?

— Cała ta scena rozegrała się w lipcu 1924 roku w Sałatjewie, w drugim oddziale obozu, którego naczelnikiem był Antipow.

Eserowcy spacerowali po podwórzu, ja siedziałem pod drzewem i czytałem książkę. Wtem jeden z czekistów zawołał do eserowców:

— Dosyć spaceru, marsz do baraku!

— Ale przecież jeszcze nie skończyliśmy swego spaceru.

Jeszcze należy się nam pół godziny — targowali się eserzy z czekistami.

W tej chwili wszedł na podwórze Antipow.

— O co się targujecie ze strażą — zapytał więźniów.

— Rozchodzi się o spacer — odpowiedzieli. Należy się nam jeszcze pół godziny, a straż każe nam natychmiast maszerować do baraku.

Spokojna odpowiedź eserów rozwściekliła Antipowa. Krew buchnęła mu do twarzy: — poczerwieniał, a potem zsiniał.

— Ach wy psy przekłete, gady s...ysyny, dranie — wyrzucał z gardła ordynarne przekleństwa. — Ja was nauczę szanować władzę!...

— Proszę się liczyć ze słowami — zawołali wówczas eserowcy, którzy, jako ludzie inteligentni i wykształceni, wrażliwi byli na swą godność.

— A to co? Opór władzy! Towarzysze — zaryczał zwracając się do straży — nauczcie ich kulami rozumu. Pluńcie z karabinów do nich! Prędej.

Posłuszna, a zresztą sama żadna krwi, straż wygarnęła z karabinów do eserowców. Skutek salwy był straszny: — dziesięciu eserowców zostało zabitych, 16 rannych.

Zerwałem się natychmiast z pod drzewa, rzuciłem książkę i podbiegłem do Antipowa, zawołałem.

— Obywatelu, naczelniku, za co zamordowaliście tylu ludzi?!

— Milczeć nie twoja sprawa — odpowiedział wściekły. Zresztą, jak można żałować gadów — za-

czął filozofować — którzy podgryzają nasz ustrój sowiecki.

— A i ty — rozwścieklił się na nowo — taki sam gad jak oni i tobie należałoby dać kulę w łeb.

Po tym okrzyku Antipow zawrócił się na pięcie i, nie popatrzawszy nawet na rannych i zabitych, wyszedł z podwórza. Ja tymczasem rzuciłem się ku rannym i, zawoławszy sanitariuszy — więźniów, zacząłem opatrywać eserom rany. Na drugi dzień przyszedł do szpitala papier, mocą którego... przeniesiono mię ze szpitala do kopania rowów.

Ot! Sporo już moglił wykopałem od tego czasu. Cóż jednak robić? Taka już nasza dola na tych Sołówkach.

— A kopcie kolego — żartowali ze mnie Napolski i Dec — głębiej. Kto wie czy dla siebie, lub dla nas grobu nie kopiecie.

Przepowiednia Deca i Napolskiego, wypowiedziana żartami, sprawdziła się wkrótce.

W listopadzie 1924 r. mieszkaliśmy w baraku czwartej kompanji. Podczas jednego z wieczornych apelów, przy którym był naczelnik administracyjny Waśkow, Napolski zażądał, aby go przywrócono na dawne stanowisko w szpitalu.

— Co takiego? — wrzasnął Waśkow. — Tym inteligentom, a szczególnie polskiego pochodzenia, w głowie się przewróciło. Może na rękach was będę nosił. Tfu! Wolę stokroć porozmawiać z ciemnym ruskim chłopem, niż z polskim inteligentem.

— Dziwi mię, — odrzekł Napolski, błądy ze wzruszenia, — że naczelnik administracyjny nie umie się zdobyć na inteligentniejszą odpowiedź.

Odpowiedź Napolskiego ubodła Waškowa.

— Ej! — zawołał do dowódcy kompanji — posadźcie tego ptaszka na Siekiernej Górze. Napewno się tam nauczy, jak szanować sowieckie władze...

Dec, przyjaciel Napolskiego zaprotestował przeciw tej niesprawiedliwej karze.

— I tego buntownika — wrzasnął Waśkow — także na Siekierną Górę. A może jeszcze ktoś z was chce na Siekierną Górę? — krzyknął, łypiąc oczami po zmaltretowanych szeregach.

Milczeliśmy jak trusie...

Dec i Napolski przesiedzieli dwa miesiące na Siekiernej Górze. Co przecierpieli przez ten okres późnej jesieni i początku zimy, domyśleć się tylko możemy, znając już z poprzednich opisów historię męczeństw więźniów, osadzonych w tej lodowatej katowni. Na pewno Bóg Najwyższy, patrząc na te ich męki ziemskie, odpuścił im wszystkie grzechy doczesne i dusze ich zabrał do nieba.

Po dwu miesiącach pobytu na Siekiernej Górze Deca i Napolskiego skazali bolszewicy na śmierć i w styczniu 1925 roku rozstrzelali. Spoczęli oni niedaleko tych mogił, które kopali dla innych ofiar bolszewizmu.

Rozstrzeliwanie ludzi na Sołówkach było zjawiskiem codziennem. Tysiące ludzi ginęło od kul zwyrodnialców sowieckich i to bardzo często bez wyroków.

*

*

Naczelnik obozu północnego, Noktiew urządził u siebie bardzo często zabawy, t. zw. „pirożki“. Na tych „pirożkach“ bywali wszyscy naczelnicy z obozu, a więc pomocnik Noktiewa, Ejckmus, naczelnik

administracyjny Waśkow, naczelnik I oddziału Barynow, naczelnik II i IV oddziału Antipow, naczelnik III Kiryłowski, naczelnik oddziału śledczego Pozow, naczelnik VI Jaroszenko i wielu innych „dygnitarzy“ sowiecko-sołowieckich.

Gdy ta cała dygnitarska hołota podpiła sobie dobrze, wysyłano czekistów do żeńskiego oddziału po najładniejsze dziewczęta, które sprowadzali siłą do naczelników. Pijani „dygnitarze“ rzucali się na biedne dziewczęta, zrywali z nich suknie i koszule i zmuszali je do tańczenia po stołach między pustymi i pełnymi butelkami wódki. Opornym nie szczędzono kułaków i nahajek.

Gdy po kilku godzinach tej dzikiej zabawy sprzykrzyły im się pohańbione dziewczęta, wyganiano je nagie na mróz i śnieg, popędzając batami aż do baraków żeńskich...

Ale był to dopiero... początek „zabawy“ dygnitarzy sowiecko-sołowieckich. Następnie rozpoczął się t. zw. program krwawy. Pijani dygnitarze chwyтали za karabiny i nagany i przez otwarte okna... zabawiali się strzelaniem do więźniów, których tymczasem usłużni podwładni wyprowadzali na roboty do lasu lub na przystań.

Po takiej „zabawie“ przvbывało zawsze kilkanaście nowych mogił, a szpitale pełne były ciężko rannych...

Czyż dziwicie się, czytelnicy, że nazwiska tvch zbirów sowieckich zapamiętałem tak dobrze?! Ależ powtarzałem je sobie codziennie na Sołówkach, przypominam je sobie i obecnie codziennie, boć, wierze w to mocno, przyjdzie na nich chwila sprawiedliwej kary.

W grudniu 1924 roku przy wieczornym apelu naszej kompanji wybrano osiemnastu ludzi do pracy w lesie i odesłano nas do Isakowa, odległego o dziesięć kilometrów od Kremla.

Ciężka to była podróż, nie zapomnę jej przez całe życie. O godz. 10 wieczorem wyprowadzono nas na podwórze Kremla, ustawiono w dwuszereg, sprawdzono nazwiska i kazano nam wsiąść na sanie, zaprzęgnięte w woły.

Sanie przyjechały z Ilkowa do Kremla po żywność. Ponieważ od paru dni szalała straszna burza śnieżna, o jakiej w Polsce niema się wyobrażenia, odkomenderowano nas osiemnastu, abyśmy odkopywali drogę i umożliwili przewiezienie żywności do Isakowa. Zaopatrzono nas w drewniane łopaty i tak ruszyliśmy w drogę. Tym razem bez czekistów, bo ci kaci, pastwiący się w straszny sposób nad bezbronnymi więźniami, byli pospolitymi tchórzami i bali się stawić czoła burzy śnieżnej.

Istotnie burza była potężna. Masy śniegu, rzucone potężnym wichrem, siekły nas po twarzy i zasypywały transport co chwila. Dokoła nic nie było widać, jeno słuch nasz chwycił przeraźliwe gwizdy wichrów, które wyły jak opętane, rzucając masami śniegu na wszystkie strony.

Gdy transport wyjechał z żelaznych wrót Kremla i, posuwając się żółwim krokiem, dostał się na pierwszy wzniesienie, wściekły wicher porwał nasze koce, poduszki i sienniki, któremi wyłożyliśmy sanie i poniósł je w przestrzeń. Daremnie goniliśmy za nimi po polu zasypałym śniegiem. Potężne wi-

chry uniosły je w zasłoniętą chmurami śnieżnemi dal.

Dopóki posuwaliśmy się po odkrytem polu, szło nam jako tako. Dopiero całą grozę tej dziesięciokilometrowej podróży odczuliśmy, gdy transport wyjechał do lasu. Szalony wicher gwałcił najpotężniejsze pnie, trząsł konarami jak piórkami i łamał drzewa. Od czasu do czasu potężny huk i trzask wkraadały się w piekielną muzykę wichrów — to złamane lub wyrwane z korzeniami drzewa waliły się o ziemię. Przejmująca groza szła od wstrząsanego żywiołem lasu. Każdy z nas oglądał się wyczekując z niepokojem i strachem, kiedy na nas zwał się wyrwane drzewa.

Aż wreszcie przyszło to niebezpieczeństwo. Ani spostrzegliśmy się, jak runęło na nasz transport kilka drzew. Jedenastu więźniów z transportu zginęło, woły zostały zabite. Reszta z nas ocalała cudem: — przykryła nas korona sosny, nie wyrządzając nam większej szkody. Nie mogliśmy się jednak z pod tej korony wydostać. Tymczasem z minuty na minutę przysypywał nas śnieg i każdy z nas oczekiwał śmierci.

Po kilku godzinach, kiedy burza ucichła, wysłano z Isakowa partję na poszukiwanie transportu. Koło godz. 9-ej rano odszukano zasypyany transport, rozkopano zwały śnieżne i wydobyto nas nieprzytomnych, nawpół żywych z pod śniegu. Wielu z nas, którzy ocaleli, miało nogi, ręce i inne części ciała podmrażane.

Produkty zbyt nie ucierpiały, zaledwie kilka worków mąki się zmarnowało.

Gdyśmy przybyli do Isakowa, wyszli na nasze spotkanie: zarządzający leśnymi robotnikami, Ryskind, dwaj jego pomocnicy, Izaak i Abram Lewici, oraz naczelnik konwoju na Isakowie, żyd Reminsson.

— Jakie straty wyrządziła burza w transporcie — spytali się dziesiątnika, który odkopywał nas i tabor.

— Jedenastu więźniów zabitych, padło sześć par wołów, kilka worków mąki zniszczonych — zaraportował dziesiątnik.

— Szkoda mąki — mruknął bezczelnie Ryskind — lepiej żeby zginęła reszta tych gadów...

Tak cenią czekałsi życie więźniów na wyspach Sołowieckich.

Po kilku godzinach pobytu w ciepłej izbie i po troskliwych zabiegach ojca Płatona, b. mnicha z klasztoru Sołowieckiego, przyszliśmy do siebie, choć nie mogliśmy zapomnieć o straszliwej przygodzie, w której o mało nie straciliśmy życia.

— Ojcie Płatonie — spytałem starca — czy często bywają takie burze na wyspie?

— Burze bywają bardzo często, ale takie burze, jaka was spotkała wczoraj, zdarzają się rzadko. Pięćdziesiąt sześć lat spędziłem w klasztorze, ale tylko dwa razy pamiętam takie wichury — wczorajszą i czterdzieści lat temu.

Nazwa Isakowa pochodzi od imienia jednego z mnichów, którzy zakładali Sołowiecki klasztor. Jest to małe osiedle.

Wokół drewnianej kaplicy, wzniesionej na wzgórzu, stoi kilka domków. Kaplicę zamienili bolszewicy na skład żywności, a w drewnianych dom-

kach umieścili więźniów. W każdym mieszkanku, zaopatrzonem w nary, mieszkało po sześćdziesięciu ludzi. Ciasnota była straszna. Łatwo ją sobie wyobrazić, gdy się wspomni, że za czasów, kiedy na wyspie działał klasztor, takie mieszkanko przeznaczone było tylko dla dwu mnichów.

Nic dziwnego, że w tem ciasnem skupisku ludzkim szerzyły się choroby i mnożyło się w zastraszający sposób robactwo. Za dnia cięły nas „blondynki“, a w nocy nie dawały nam spać pluskwy i inne robactwo, tem bardziej, że isakowskie „naczelnictwo“ nie uznawało zmiany bielizny. Zmiana bielizny to „wymysł burżujski“ stale nam odpowiadało, gdy upominaliśmy się o czystą bieliznę.

*
* *
*

Na drugi dzień po przybyciu do Isakowa, kiedy jeszcze czułem ból w kościach i mięśniach po przyśpaniu w czasie transportu, zapędzono mię i innych towarzyszy do pracy w lesie. Była to nie praca, a piekielne męki. Więźniowie podzieleni na grupki, po trzech w każdej, musieli wyrąbać stosy drzewa po trzy sążnie długości i półtora szerokości, a następnie to wyrąbane drzewo przewlec po śniegu o 300 kroków dalej. Pracę tę należało wykonać w ciągu jednego dnia. Kto tej pracy nie wykonał, nie dostawał pożywienia i zostawiano go na noc w lesie, aby dokończył wyrębu.

Za pracę otrzymywaliśmy 2 i pół funta czarnego chleba i obiad, zgotowany z cuchnącej ryby „treski“. Właściwie za cały obiad dawano nam zupę, sporządzoną w następujący sposób: do kotła wrzucano zmarznięte drobne z łupinami kartofle, oraz

cuchnące „treski“, podlewając to obficie wodą. Zagotowana ta mieszanina, przypominająca pomyje, jakie się w Polsce nierogaciźnie daje, była naszą gorącą strawą.

Jak już wspomniałem, więźniowie, którzy nie zdołali wyrąbać przepisanej miary drzewa, nie dostawali ani tej wstrętnej zupy, ani chleba, a na dobitkę zostawiano ich na noc w lesie. Jasnym jest, że rzadko taki nieszczęśliwiec wracał do swych towarzyszy — przeważnie zamarzał w lesie. To też wielu więźniów, chcąc ratować swoje życie, odra-
bywało sobie umyślnie palce u rąk, lub w inny sposób kaleczyli się, aby tylko uniknąć tej katorżniczej pracy i dostać się do szpitala. Ale gdy wypadki te zaczęły się mnożyć, zaciekli czekałsi pozostawiali okaleczonych więźniów swemu losowi, odmawiali im pomocy lekarskiej i zpowrotem pędzili na roboty do lasu.

Olbrzymie spustoszenia wśród pracujących więźniów robiły mrozy. Wielu ludzi odmroziło sobie ręce, nogi, nosy lub uszy. Ponieważ felczerzy nie umieli się w należyty sposób obchodzić z odmrożeniami, nie mieli także odpowiednich lekarstw, często odmrożenia kończyły się gangreną, przyspieszaną przez brud i robactwo.

Pracując w lesie przy wyrębie drzewa, zawarłem znajomość ze znanym dobrze w Piotrogradzie, baronem Sztrombergiem, oraz kupcem rosyjskim, Koralowem. Razem ciąłiśmy drzewo w lesie, gawędząc często o dawnych, lepszych czasach.

Pewnego razu Koralow, który nie mógł znieść ciężkiej pracy w lesie i pełnego upokorzeń życia w

katordze sołowieckiej, położył rękę na pniu drzewa i, zwracając się do mnie, zawołał:

— Kolego, odrąb mi palce!...

— Nie, tego nie uczynię — odrzekłem, drżąc ze wzruszenia.

— Zrobicie mi wielką łaskę — błagał Koralow.

— Dostyc mam tego losu i tej niewolniczej roboty.

— Nie mogę, kolego, nie mogę — uspokajałem Koralowa.

Czy to ci zresztą coś pomoże? Pójdiesz do szpitala brudnego i niechlujnego i tam cię męczyć nie przestaną.

Następnego dnia rano znowuż znaleźliśmy się we trójkę w lesie. Ja z baronem Sztrombergiem podcinałem pnie drzew, a Koralow na zwalonych drzewach obcinał gałęzie. Gdyśmy już ścieli kilkańście drzew, przykucnęliśmy pod konarami, aby ukryć i wypalić papierosa z cuchnącej machorki. Wnet wywiązała się pogawędka, w której Koralow jednak nie brał udziału.

— Cóżes taki smutny — spytaliśmy go.

— Eh! — machnął ręką. — Życ się nie chce... Możebyś ty, baronie, zechciał mi odrąbać palce?

— Znowuż ci strzeliło coś do głowy — zaczął mu perswadować Sztromberg. Jeszcze cię Bóg gotów pokarać za te niechrześcijańskie myśli.

— A tych draniów, bolszewików karze?!

Dalszą rozmowę przerwał nam dziesiętnik, który, wymachując kijem przed naszemi oczami, krzyczał:

— Do roboty mały, su...y syny! Do roboty! A nie, to kijem wam porachuję żebra...

Koralow złym wzrokiem spojrział na dziesiętnika i ścisnął siekiere w rękach... Pohamował się jednak.

Znowuż zabraliśmy się z baronem do podcinania potężnej sosny. Gdy była już tak mocno podcięta, że lada chwila mogła runąć, ostrzeżliśmy o tem głośno Koralowa.

Ale Koralow czekał tylko na tę chwilę. Gdy bowiem sosna zaczęła padać na ziemię, Koralow rzucił się pod nią i, zanim zdołaliśmy słowo wypowiedzieć, legł zmiażdżony pod potężnym pniem...

Tak skończył swą męczarnię słynny niegdyś kupiec rosyjski, Koralow. Pozostała po nim w Rosji wdowa i troje sierot...

Podobne wypadki zdarzały się niemal codziennie w trójkach, tnących las sołowiecki.

Po śmierci Koralowa miejsce jego w naszej trójce zajął książę Mikołaj Golicyn. Praca w takiej trójce jeszcze była powolniejsza, ponieważ ani Golicyn, ani Sztromberg nie umieli sobie dać z nią rady. Często zostawiano nas za karę na noc w lesie, odmawiano żywności, a w końcu zaczęto bić batami. Od tych batów dostał wkrótce pomieszczenia zmysłów Sztromberg.

Ale i książę Mikołaj Golicyn źle skończył.

Gdy pewnego razu, czuiac się ciężko chorym, nie chciał opuścić baraku i iść na roboty, czekista, żyd Reminson i dozorca Iwanow zapędzili go kijami.

Pamiętam jak dziś, noga za nogą włókł się książę do lasu. Gdy stanął koło nas, chwiał się cały i tylko ostatnim wysiłkiem woli trzymał się na nogach.

— Dajcie mu topór — zawołał Reminson. — Bierz go i odrąbuj gałęzie.

Ale schorowanego księcia nie stać już było na najmniejszy wysiłek fizyczny. Topór wyleciał mu z rąk, a kolana ugięły się pod ciężarem bezwładnego ciała; padł na ziemię.

Rozwścieczony Reminson skoczył do leżącego bez ruchu księcia z okrzykiem:

— Znowu to arystokratyczne bydlę udaje chrego! Oduczę ja cię tego raz na zawsze! I w a n o w, p o m a c a j m u ż e b r a n a g a n e m!

W tej chwili spadły kolby karabinów na leżącego nieprzytomnie księcia. Tak żyd Reminson pospołu z „prostakiem“ Iwanowem znęcał się nad arystokratą rosyjskim. Złamano księciu zebra i porzucano go w lesie bez opieki i pomocy. Za parę godzin duch księcia Golicyna opuścił zmaltretowane przez katów żydowsko-bolszewickich ciało.

Ale wkrótce przyszła kolej i na mnie. Musiałem widocznie spróbować „przyjemności“, jakie wymyślił dla podwładnych sobie więźniów żyd Reminson.

W kilkanaście dni po zamordowaniu przez Reminsona i Iwanowa ks. Mikołaja Golicyna, poczułem dreszcze w całym ciele i bóle w płucach. Zwróciłem się z tem do felczera Bute-Kowalskiego. Felczer zmierzył mi gorączkę i okazało się, że temperatura mojego ciała osiągnęła 39 stopni.

— Jesteś istotnie chory — zawyrokował Bute-Kowalski — nie możesz iść na roboty do lasu, zostań w baraku i połóż się.

Zastosowałem się i to z wielką ochotą do rozporządzenia felczera. Niedługo jednak pozwolono

mi chorować. W pół godziny po owej wizycie u felczera zjawił się w baraku Reminson z nieodstępnym Iwanowem, poprostu dwaj kaci.

— Dlaczegoś nie poszedł do roboty — krzyknął Reminson.

— Jestem chory, mam 39 stopni gorączki, felczer kazał mi zostać w barakach.

— Co chory? W Isakowie chorych nie może być, marsz do roboty!

Zmuszono mię iść do lasu. Maszerowałem, chwiejąc się z osłabienia. Ale Reminson i Iwanow stale mię popychali, nie żałując razów i dogadywań.

— Czy będziesz pracował w lesie? — spytał mię po drodze Reminson.

— Ciężko mi będzie, bo mam bardzo silną gorączkę i klucie w płucach.

— Ja ci inną robotę wynajdę — odrzekł złowieszczo żyd Reminson i poprowadził mię nad jezioro Białe. Niedaleko brzegu widniał przerębel, z którego czerpaliśmy wodę do picia. Czekiści poprowadzili mię do tego przerębla.

— Zdejmij ubranie — zawołał Reminson.

— Poco? — spytałem, choć czułem, że mię w tym przeręblu chcą wykąpać lub utopić.

— Zdejmuj natychmiast — zawołał rozwścieczony czekista.

— Nie zdejmę — szarpnąłem się z całych sił. Anim się obejrzał, jak rzucono mię na lód, a na ciało moje spadły uderzenia kołb.

Kiedy mię już zbito tak, że nie mogłem się ruszać, Iwanow ściągnął ze mnie ubranie i na rozkaz

Reminsona zanurzył mię w przeręblu przy 37 stopniowym mrozie.

Po wyciągnięciu mię z lodowatej wody cały trząsałem się z zimna.



— Biegnij do baraku — zawołał Reminson — popychając mię kijem. Teraz będziesz zdrów jak ryba.

Biegłem istotnie co sił starczyło w schorowanym

organizmie. Gdym przebiegł pół kilometra od jeziora do baraku, wyglądałem raczej jak słup lodu, niż jak człowiek.

Kąpiel w przeręblu przy 37 stopniowym mrozie poważnie poderwała moje zdrowie. Choć byłem młody i pełen sił, nigdy już od tej pory nie mogłem odzyskać ich wszystkich, jakie miałem przed tą przekłętą kąpielą.

Oto jakie „igraszki“ urządzają sobie czekańci z więźniami na Sołówkach. Życie więźniów cenione jest tam mniej od życia psa, lub jakiegoś innego bydłęcia.

*

*

*

Z wiosną 1925 roku na Isakowie począł się szerzyć w zastraszający sposób tyfus plamisty. Wnet ogarnął on wszystkie oddziały sołowieckich obozów. Rzecz jasna, że wybuchł on wskutek fatalnego odżywiania, zimna i strasznych brudów, panujących w obozach. Szpitale zapęłniły się po brzegi, a wkrótce zabrakło w nich miejsca. Musiano brudne i niechlujne baraki, przypominające raczej chlewy, niż izby mieszkalne, przeznaczyć na szpitale dla chorych.

Dziesiątki więźniów marło codziennie. Na ustach jedenastu tysięcy nieszczęśliwych, męczonych w katowniach sołowieckich, zawisły dwa straszliwe słowa:

— Śmierć idzie!

Jednych strach ogarnął wielki, strach, który rozstroił im ostatecznie już i tak mocno poderwane nerwy. Inni oczekiwali z niecierpliwością chwili,

kiedy ich weźmie w uściski śmierć-pocieszycielka i wreszcie wyzwoli z katowskich rąk bolszewickich.

Największy strach padł na czekistów, którzy, choć przelewali krew ludzką niemal codziennie, bali się śmierci panicznie. Widocznie czuli, że po śmierci czeka ich piekło.

Gdy epidemia tyfusu w Isakowie przybrała olbrzymie rozmiary, przysłano nam lekarkę, panią Feldman, która część chorych odesłała do głównego szpitala na wyspach. Gdy powróciłem do zdrowia, lekarka mianowała mnie sanitariuszem w szpitalu. Ciężka to była praca ze względu na straszne warunki. W sali, w której pracowałem, było 48 chorych i niemal codziennie marło po 10 osób. Trudno im było pomóc, bo odpowiednich lekarstw nie było.

Po kilku tygodniach pracy w szpitalu lekarka mianowała mnie starszym sanitariuszem i pomocnikiem felczera, którą to godność sprawował b. pracowławy archirej z Piotrogradu, Protopopow. Obaj nigdy przedtem nie pracowaliśmy w szpitalu i nie mieliśmy najmniejszego pojęcia o leczeniu i obchodzeniu się z chorymi. Nic też dziwnego, że zdarzył się nam komiczny w swej grozie wypadek.

Pewnego razu podszedłem do leżącego na naszej sali Sidorowa, aby zbadać puls i zmierzyć mu gorączkę. Gdy go chwyciłem za rękę, poczułem, że puls nie bije.

— Władko — zawołałem do Protopopowa — Sidorow umarł.

Protopopow podszedł do łóżka Sidorowa, wziął go za puls, przyłożył ucho do serca i rzekł:

— Umarł biedak! W imię Ojca... zrobił krzyż dłonią nad ciałem zmarłego i polecił je przenieść do trupiarni. Młodzi sanitarjusze wzięli ciało nieboszczyka na ręce i złożyli w kostnicy. Tu biedakowi Sidorowi zabrano (w myśl przepisów) bieliznę i ułożono go na stosie nieboszczyków. Wkrótce zapomnieliśmy o Sidorowie, boć nasi chorzy nie pozwolili nam rozmyślać o zmarłych.

W półtorej godziny po odniesieniu Sidorowa do kostnicy wyszedłem na korytarz, aby z szafy zabrać sprzęty szpitalne. Załedwie zrobiłem kilka kroków, gdy oczom moim przedstawił się straszny widok:— na podłodze korytarza czołgał się w kierunku izby szpitalnej Sidorow. Strach mię ogarnął ogromny, tem bardziej, że była to godzina dwunasta w nocy. Czem prędzej zawróciłem i wpadłem do sali szpitalnej z krzykiem:

— Władyno, Sidorow zmartwychwstał, czołga się po korytarzu w naszą stronę.

— Cóżżeś ty zwarzjował!

— Władyno, wyjdźcie na korytarz, to sami się przekonacie.

Władyka podszedł do drzwi, ostrożnie je uchylił, zerknął na korytarz i nagle gwałtownie drzwi zatrzasnął.

— W imię Ojca... zaczął się żegnać władyka.
— Sidorow czołga się.

Władyka wyjął obrazek z kieszeni i zaczął się modlić. Drżąc ze strachu, przysunąłem się do niego.

Wtem otworzyły się drzwi i na salę wczołgał się Sidorow.

Właduko — szepnął — dlaczegożście mię kazali wynieść do kostnicy? Poskarżę się doktorowi.

W jednej chwili otrzeźwieliśmy i zrozumieliśmy naszą straszną pomyłkę: Sidorow żył, gdy kazaliśmy go przenieść do kostnicy. Obudził się na stosie nieboszczyków i, zrozumiawszy swą nieszczęsną sytuację, postanowił doczołgać się do sali szpitalnej.

Zrozumieliśmy swą winę, skoczyliśmy do biednego Sidorowa, ułożyliśmy go na łóżku i ubrali w bieliznę.

Na drugi dzień Sidorow poskarżył się lekarzowi, który rozumiejąc naszą nieświadomość, udzielił nam tylko nagany. Po kilku tygodniach Sidorow wyzdrowiał i od tej pory stale kpił z naszej wiedzy medycznej.

Tak się skończyła tragikomiczna historia z Sidorowem. Od tej pory bardzo skrupulatnie badaliśmy umarłaków.

Wnet łóżko po Sidorowie zajął nowy pacjent, na ten raz nie więzień, a czekista Sokołow, znany ze swych okrucieństw na wyspach Sołowieckich. Sokołow własnoręcznie rozstrzelał ponad setkę więźniów. Było to zwyrodniałe bydło, dla którego najmilszą przyjemnością było rozlewanie krwi ludzkiej.

Rozumie się, ucieszyłem się z tego, że tyfus schwycił takiego okrutnika i że przyszedł wreszcie na niego czas.

Gdy pewnego razu pani M., lekarka szpitala obchodziła salę, zbliżyła się do mnie i zapytała półgłosem.

— Znał pan Napolskiego i Deca?

— Jakżeż. Razem kopaliśmy rowy do czasu, aż ich skazali na Siekierną Górę. To moi rodacy!

— A wie pan, kto ich rozstrzelał?

— Próbowałem się dowiadywać, ale trudno mi było zdobyć nazwiska zabójców.

— To Sokołow — szepnęła z naciskiem, wskazując na leżącego w łóżku czekistę — własnoręcznie rozstrzelał Deca i Napolskiego.

— Skąd pani to wie?

— Jako lekarz musiałam asystować przy ich śmierci...

— Na pewno Sokołow?...

— Panie, na własne oczy oglądałam!

Zamroczyło mię na chwilę. To ten drań, krwio-pijca, to zdegenerowane bydło rozstrzelało Deca i Napolskiego? Zgrzytnąłem zębami, straszna nienawiść popchnęła mię do łóżka Sokołowa. Gdybym miał coś pod ręką, na pewno nie zdołałbym się opanować.

— Panie Mieczysławie — oderwał mię od ponurych zamiarów głos lekarki.

— Słucham panią!

— Czy pan wie, dlaczego asystowałam przy rozstrzeliwaniu Napolskiego i Deca.

— Kazali pani.

— Tak kazali! Kazali, bo wiedzieli, że mię bliższe stosunki łączyły z Napolskim, że Romana kochałam bardzo. To ich łotrowski system: podwoić cierpienia ludzkie przed jego śmiercią. Kanalje! Szubrawcy!

Nie dziwiłem się tym okrzykom pani M., boć jeśli rzeczywiście łączyły ją bliższe stosunki z Napolskim, ostatecznym łajdactwem było zmuszać ją

do asystowania i to w charakterze lekarza przy rozstrzeliwaniu jej ukochanego. Ale dla łajdactw czekałsi nie znają miary.

Po chwili pani M. wezwała mię przez sanitariuszkę do swego pokoju. Z ust jej potoczyła się opowieść smutna i tragiczna:

— Waškow i Naktiew — opowiadała pani M. — chcąc się zemścić na mnie za to, że odpowiedziałam odmownie na ich hańbiące propozycje, kazali mi być przy rozstrzeliwaniu Romka. Było to w styczniu 1925 roku. Pewnej nocy wezwano mię do asystowania przy rozstrzelaniu dwu więźniów. Ździwiło mię to ogromnie, boć na wyspach Sołowieckich nie było we zwyczaju wzywać lekarzy do asystowania przy wykonywaniu wyroków. Kazano jednak, więc przyszedłam.

Gdy sprowadzono mię na miejsce stracenia, zastałam łotrów nad łotry — Waškowa i Noktiewa, a prócz tego pijanego Sokołowa. Skazańców jeszcze nie było. Nie wiedziałam wówczas kogo będą rozstrzeliwać.

Po kilku minutach ujrzałam grupkę sześciu ludzi — to czterech krasnoarmiejców otaczało dwu skazańców. Gdy zbliżyli się o parę kroków do mnie — Boże — ujrzałam Romka i Deca. To ich prowadzili krasnoarmiejcy na śmierć, to ich miano za chwilę rozstrzelać.

Trudno słowami opowiedzieć, co wówczas przeżyłam, tem bardziej, że nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. Nie straciłam jednak przytomności całkowicie, wszystko widziałam i wszystko zapamiętałam.

Poprowadzono Romana i Deca z rękoma związanymi drutem do dołów. Odczytano wyrok: za opór władzy sowieckiej — rozstrzelanie.

Gdy rozwiązano im ręce, padł rozkaz:

— Rozbierać się!

Romek, który ze zdziwieniem spoglądał na mnie, zdejmował z siebie spokojnie, powoli ubranie. Również po bohatersku zachował się Dec. Gdy się już rozebrali, podszedł do nich pijany Sokołow z paczką papierosów i zaczął częstować skazańców. Odmówili obaj, a Romek spokojnie, ale dobitnie powiedział:

— Z rąk, zbroczonych krwią niewinnych ludzi, nie wezmę nawet papierosa! — i zapalił spokojnie swą machorkę.

Waśkow, Noktiew nie rzekli słowa, tylko pijany Sokołow machnął dziwacznie ręką.

— Jesteśmy gotowi! — zawołał do katów Napolewski po wypaleniu swego papierosa.

— Tak!! Jesteśmy gotowi — potwierdził Dec.

— Jak wolicie — torturował pytaniami skazańców Waśkow. — Czy żeby strzelano do was z tyłu, czy z przodu?...

— Chcemy widzieć — zakpił z niego Napolewski — czy wam nie zadrży ręka.

Wówczas Waśkow, dla którego nie było nowiną rozstrzeliwanie ludzi, rozkazał krasnoarmiejcom odejść na bok i trzymać karabiny wpogotowiu, a do Sokołowa zawołał:

— No! Sokołow, wyjmij swój nagan!

Zezwierzęceni czekałsi, Waśkow i Sokołow — niech pan zapamięta te nazwiska — wymierzyl nagany do Napolewskiego i Deca.

Padły dwa strzały.

Pierwszy zważył się do dołu Dec, następnie Romek...

Co się dalej działo, nie pamiętam. Gdy na drugi dzień obudziłam się na łóżku szpitalnem, sanitariuszka poinformowała mię, że zemdlałam przy rozstrzeliwaniu dwu więźniów i że przyniesiono mię bez czucia i pamięci do szpitala.

Po straceniu Romana chorowałam cały miesiąc.

Oto, jak zemścili się na mnie Waśkow i Noktiew. Ale Bóg oddał już jednego kata w moje ręce. Przysięgam, że Sokołow nie wyjdzie żywy ze szpitala!...

Choć sam nienawidziłem Sokołowa, zdumiewał mię ten okrzyk pani M.:

— Co pani mówi?

— Mówię to co musi się stać. Przysięgłam zemstę wszystkim katom, którzy rozstrzelali Napoleńskiego i przysięgi tej dotrzymam, choćbym śmiercią za to miała zapłacić.

Po trzynastu dniach pobytu Sokołowa w szpitalu nastąpił okres przesilenia w jego chorobie. Widziałem jak p. M. z niecierpliwością oczekiwała tego przesilenia, łudząc się, że śmierć zabierze tego kata. Jednakże silny organizm Sokołowa zwyciężył, przesilenie wypadło dla niego dobrze i wiadomo było od tej pory, że Sokołow będzie żył. Nadzieje pani M. nie spełniły się. Po kilku dniach od czasu przesilenia Sokołow już zaczął nabierać sił.

— Może teraz po tej chorobie będziesz lepszy— rzekła pewnego razu pani M. — i rzucisz ten wstrętny fach mordowania ludzi.

— Żal ci tego drania Napolskiego? Ja już takich kilka setek rozstrzelałem, a przyjdę do zdrowia, jeszcze niejednego wyprawię na tamten świat — ryczał Sokołow.

— Bacz, aby cię Bóg nie pokarał — groziła mu p. M. Tam w Rosji setki wdów i sierot proszą codziennie Boga, aby cię ukarał, a ty myślisz o nowych ofiarach.

— Bóg? — burżujski wymysł. Co mi Bóg i tak będę rozstrzeliwał.

Mam wrażenie, że nie zdążysz! — zawołała z mocą i w oczach jej pojawiły się groźne błyski.

Nazajutrz rano wezwała mnie do siebie i kazała mi roznieść chorym kubki z mlekiem. Gdy to już wykonałem, wręczyła mi jeszcze jeden kubek z następującymi słowami:

— Ten przeznaczony jest dla Sokołowa. Uwważaj pan, abyś go nie dał innemu choremu. To jest specjalne lekarstwo tylko dla Sokołowa. Zdziwiła mnie ta jej troskliwość o niego, szczególnie po wczorajszej rozmowie.

— Że się też pani tak troszczy specjalnie o Sokołowa — zauważyłem cierpko.

— Przecież to nasza władza — odpowiedziała zagadkowo — należy jej się specjalna opieka. Nic już nie mówiąc, zaniósłem kubek z mlekiem. W godzinę później Sokołow obudził się, chwycił za kubek i wypił chciwie całą jego zawartość. W półtorej godziny później zaalarmował mnie jeden z sanitarjuszy wiadomością, że Sokołow umarł.

Czem prędzej pobiegłem do jego łóżka, zawołałem medyka i obaj stwierdziliśmy, że istotnie Sokołow rozstał się z tym światem.

Natychmiast pobiegłem do pani M.

— Czy pani wie, że Sokołow umarł.

— Należało mu się to przecież — odpowiedziała cicho, błędąc. Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Spojrzałem na jej blade i smutne oblicze i wnet zrozumiałem całą prawdę.

— Otruła go — szepnąłem do siebie. Tak się pomściła p. M. na Sokołowie za rozstrzelanie Napolskiego. Nikt się tego nie domyślił, ja zaś zamknąłem w sobie tę tajemnicę na cztery pieczęcie. Dziś piszę o tem, bo pani M. (niech nazwisko jej pozostanie nieznane) dawno już spoczywa w ziemi...

* * *

W lipcu 1925 roku zawiadomiono szpital telegraficznie, że na okręcie „Gleb Bokij“ wysyłają do naszego szpitala trzydziestu chorych z Kemi. Doktor Winogradow kazał mi zabrać ośmiu sanitariuszy i udać się na przystań po chorych.

Gdy przybyliśmy na przystań, okrętu jeszcze nie było, zaledwie na horyzoncie, koło wysepki Liemberty, ukazał się dym z jego komina. Po dwu godzinach zbliżył się do portu. Pokład okrętu był wypełniony ludźmi — skazańcami zesłanymi na wyspy Sołowieckie. Powoli zaczęto ich wyładowywać. Chorych kazałem umieścić na wozach i pod opieką sanitariuszy odprawiłem do szpitala.

Sam zostałem w porcie, chcąc się dowiedzieć, czy wśród skazańców są Polacy. Istotnie, wkrótce natknąłem się na księdza staruszka. Okazało się, że to jest 60-letni ks. Baranowski, dziekan z Witebska.

— Za co księdza dziekana skazano na Sołówki?

— Albo ja wiem? Dołączono mię do sprawy Polaków z Witebska: Iwanowskiego, jego żony i brata, Woyno, Leonowicza i pani Zahorowskiej, których przedtem nie znałem. Po kilku miesiącach pobytu w więzieniu odbyła się sprawa. Iwanowski, Zahorowska, Woyno, Leonowicz i jeszcze jakiś piąty zostali skazani na śmierć i rozstrzelani, żonę i nieletniego brata Iwanowskiego wymieniono do Polski, a mnie i kilku innych skazano na Sołówki — odpowiedział smutnie ksiądz staruszek.

— Czy ci skazani z księdzem również przybyli tym transportem?

— Nie — odrzekł ksiądz dziekan — zostawiono ich w Kemi wraz z trzystoma skazańcami z mińskiego więzienia. Mają oni tu przybyć niedługo. Dalszą rozmowę przerwał nam konwój, który zagarnął księdza Baranowskiego ze sobą.

Skoczyłem czem prędzej do Kremla, aby zawiadomić Polaków i katolików o przywiezieniu na Sołówki katolickiego księdza. Wnet wieść o tem rozniosła się po całym obozie. Każdy z nas szykował się, aby dotrzeć do księdza i choć chwileczkę z nim porozmawiać. Każdy z katolików czekał od księdza pociechy i każdy marzył, aby księdzu ulżyć w jego ciężkiej doli.

Nazajutrz do Kremla przybyło wielu Polaków, Litwinów, Białorusinów, a nawet Ormian, aby ujrzeć księdza katolickiego. Niesiono, co kto mógł: kawałki chleba, cukru i t. p., byle podzielić się z księdzem i choć sekundę z nim porozmawiać. Zebrało się kilkadziesiąt osób; i ja ruszyłem z niemi.

Gdyśmy przybyli do 13-ej kompanji, do której ksiądz był przydzielony, nie zastaliśmy nikogo. Okazało się, że 13-ta kompanja została wysłana do pracy. Wnet dowiedzieliśmy się, że ksiądz niedaleko Kremla wozi kamienie i ruszyliśmy we wskazanym kierunku. Nagle ujrzeliśmy smutny widok: dwu starców ciągnęło naładowany kamieniami wózek. Jednym z tych starców był ks. Baranowski. Jak jeden mąż, rzuciliśmy się do wózka, wypręgliśmy obu mdlejących starców i sami zaczęliśmy ciągnąć wózek.

Konwój zawiadomił o zajściu dyżurnego obozu. Zaledwie zdążyliśmy przyciągnąć wózek na miejsce zwózki kamieni, gdy kilkunastu krasnoarmiejców rzuciło się na nas i zaczęło okładać kolbami. Kto nie zdołał uciec, powędrował do karceru, a część zamknięto na przeklętej Siekiernej Górze.

W kilka dni po tych zajściach i ciężkiej pracy ks. Baranowski zachorował i znalazł się w szpitalu. W tym czasie w szpitalu pracował zesłaniec doktor Wysocki, Polak. Wysocki zajął się troskliwie chorobą księdza staruszka i w dość krótkim czasie postawił go na nogi. Wówczas, dzięki wstawiennictwu dr. Wysockiego, księdza Baranowskiego przydzielono do apteki szpitalnej w charakterze posłańca. Funkcję tę sprawował przez kilka miesięcy, ale kiedy dr. Wysockiego wysłano do Kemi, księdza usunięto z apteki i zamianowano go stróżem. Na tem stanowisku przebył do końca swego wyroku, t. j. do 1928, kiedy został zwolniony z Sołówek i wysłany do środkowej Rosji.

W kilka dni po przybyciu ks. Baranowskiego na Sołówki przysłano na wyspę nową partję więźniów

w liczbie 300 osób. W partji tej odnalazłem wielu swoich znajomych z więzienia mińskiego a więc: Klaspaczewskiego, Pietrusiewicza, Łukaszewicza, Rudego, Sirodkę i wielu innych.

— Czy kobiety przybyły z wami?

— Tak. Około dwudziestu.

— A ze znajomych moich?

— A między innymi hrabina R.

Panią hr. R. znałem dobrze z więzienia mińskiego. Okno mej celi było nad jej oknem tak, że przy pomocy sznurkowej poczty pisywaliśmy do siebie, flirtując zawzięcie dla zabicia nudy. Postanowiłem ją odnaleźć na wyspie. W oddziale pracy dowiedziałem się, że partja przybyłych kobiet pracuje w cegielni odległej o 3 klm. Gdym przybył do cegielni, zacząłem szukać hr. R., którą też wkrótce ujrzałem. Zgięta wpałak dźwigała na ramieniu deskę z mokremi jeszcze ceglami.

— Dzień dobry pani? — powitałem hr. R.

Pani R., spojrzawszy na mnie i rzuciwszy deskę z ceglami, podbiegła do mnie z okrzykiem:

— Ach! Jakże się cieszę, panie Mieczysławie. Dopytywałam się już o pana, bo wiedziałam, że pana tu wysłano. Niestety, nie umiano mi powiedzieć, gdzie pan się znajduje.

— Jednak panią odszukałem.

— Cieszę się, bardzo panu jestem wdzięczna. Rażniej mi tu będzie na tej przekłętej wyspie.

Podeszliśmy do suszarni i usiedliśmy na desce.

— Co słychać w Mińsku?

— Wielu pańskich znajomych rozstrzelano, a między innymi Leszczyńskiego Aleksandra, Żórawskiego Stefana, Abramowicza, Adamowicza i wie-

lu, wielu innych. Po pańskim wyjeździe z Mińska rozstrzelano ogółem 150 osób.

— A co się dzieje z moją znajomą, p. Helą Róbczyńską?

— Helena została wymieniona do Polski, brat jej zaś otrzymał pięć lat wysp Sołowieckich i już jest w Kemi.

— Czy pan wie — ciągnęła dalej p. R. — że rozstrzelali Janinę Jackiewicz, tę, która siedziała razem ze mną w jednej celi.

— Niemożliwe — zawołałem.

— Tak, tak, panie Mieczysławie. Podziwialiśmy wszyscy jej zachowanie się po wyroku śmierci. Do takiego śmiałego patrzenia w oczy śmierci zdolne są tylko Polki.

— Proszę mi opowiedzieć o jej chwilach ostatnich — błagałem panią R.

— Pięknie i po bohatersku się zachowała. Gdy wróciła po wyroku z sądu do więzienia, pytaliśmy ją przez okna.

— Janina, ile dostałaś?

Ona, śmiejąc się, odrzekła:

— Skazano mię na rozstrzelanie.

Odważnie z uśmiechem na ustach, poszła do piwnicy więziennej, gdzie osadzono ją w t. zw. celi śmierci.

Po upływie kilku dni, koło godz. 6-ej wieczorem do więzienia przybyli najwięksi łajdacy z G. P. U. mińskiego: Baranow, Krest i Pik. Gdyśmy ujrzeli ich przez okna, zaraz zrozumieliśmy, że będą brać kogoś na rozstrzelanie. Po kilku minutach z piwnicy wyprowadzono Janinę Jackiewicz. Szloch

wstrząsnął piersiami więźniów, a szczególnie kobiet.

— Janino! Janino! — zawodziłyśmy.

— Nie płaczcie siostry! Płacz nie pomoże! Pamiętajcie, że mam zaszczyt umierać za Polskę!

Machając chustką w naszą stronę, podeszła w ślad za Baranowem, Pikiem i Krestem do auta, które stało w bramie więziennej. Krótki warkot motoru, auto ruszyło i Janina Jackiewicz, nieugięta Polka, ruszyła na miejsce stracenia. Później dowiedzieliśmy się, że zginęła po bohatersku, patrząc śmiało w lufy naganów, z okrzykiem: niech żyje Polska!

— A cóż tu na wyspach się dzieje — pytała mnie po skończeniu opowiadania o śmierci Janiny Jackiewicz hr. R. Czy wszystkie kobiety muszą tu tak ciężko pracować?

— Prawie wszystkie. Są wyjątki, ale do nich należą te kobiety, które godzą się na hańbiące propozycje czekistów. Ale i te pracują mniej dopóty, dopóki nie znudzą się czekistom. Wtedy znowu wracają do ciężkich robót.

— Może oni mają tu inną pracę dla kobiet, a nie tę obrzydliwą w cegielni.

— Proszę pani, praca w cegielni nie należy do najcięższych, choć każda kobieta musi codziennie przenieść tysiąc sztuk cegieł o 200 kroków do suszarni. Gdym zimową porą pracował w lesie, widziałem przy pracy w lesie i kobiety. Pracowała tam wówczas znana powszechnie księżna Olga Gagarinowa.

— A cóż one robiły w lesie?

— My, mężczyźni, ścinaliśmy drzewa, a kobiety, zaprzęgnięte w sianie, zwoziły je do składu. A na Sołówkach śniegi po pas. To już naprawdę była ciężka, ponad siły kobiece, praca. Niejedna z kobiet zmarła, a wiele zmarło z przeziębienia i wyczerpania. Zresztą na Zajęczych wyspach, gdzie ulokowano same tylko kobiety, one same muszą ciąć drzewo i to taką normę, jak w innych lasach mężczyźni.

— Opowiadanie pańskie zaczyna mię przerażać. Gotowa jestem odebrać sobie życie!

— Proszę pani, ja nawet pewne fakty pomijam milczeniem, nie chcąc panią przygnębiać ostatecznie. Lepiej jednak dowiedzieć się o nich wcześniej. Koleżanki z obozu kobiecego poinformują panią o wszystkim.

Wtem podszedł do nas zarządzający cegielnią i krzyknął:

— Co to za rozmowy. Marsz do pracy!

Dźwignęliśmy się z ławki i ruszyliśmy powoli w kierunku cegielni.

— Wie pan — przyciszyła głos hrabina — ten jegomość kazał mi się zgłosić do swego mieszkania. Myślałam, że to jakiś współwięzień z Mińska, który chce ze mną pomówić. Proszę sobie wyobrazić: gdy zjawiłam się w jego mieszkaniu, zaczął mi czytać obrzydliwe propozycje.

— Domyślałam się — kiwnąłem smutnie głową. — Ten wstrętny stary żyd bez zębów — ciągnęła dalej hr. R. — zaproponował mi, abym została jego kochanką. Plunęłam mu w twarz i wyszłam.

— Oh! Ci łajdacy — odrzekłem — są bezczelni, bo wiedzą, że od nich zależy nasze życie. Niech pani zapyta kobiet z baraków, ile z nich uległo temu wstrętnemu parszywcowi. To jest kierownik cegielni, nazywa się Remer. Naturalnie żyd.

— Nie rozumiem — zawołała pani R. — jak mogły kobiety zgodzić się na tak nieczne propozycje tego Remera. Zamilkliśmy. Pani R. rozmyślała. Smutek i przygnębienie przechyliły jej piękną główkę.

Czem prędzej pożegnałem hr. R. i ruszyłem do szpitala.

Po kilkugodzinnej pracy na cegielni hr. R. przeniesiono do pralni więziennej. Gdym się o tem dowiedział, postanowiłem ją tam odwiedzić. Zastałem ją przy balji, jak przy pomocy patyczka zgarniała insekty z bielizny. Sam już widok wstrętny i obrzydliwy, a cóż dopiero praca i to dla tak niegdyś wytwornej i niezależnej, jaką była hr. R. Do obowiązków praczki należało wyprać w ciągu jednego dnia 100 sztuk bielizny, a więc praca ponad siły. Ponieważ hr. R. nigdy przedtem w swoim życiu nie prała bielizny, nie zdążyła teraz za innymi praczkami. Wnet ją z pralni usunięto i od tej pory przerzucano z jednej roboty do drugiej. Gdy w listopadzie rozpoczęto wycinanie drzew w lesie,znaczono do tej pracy i hr. R.

Pod koniec grudnia wysłano mię ze szpitala do tej „komenderówki“, gdzie hr. R. pracowała. Tu przebywał, odkomenderowany przez szpital, nasz felczer, Dawidenko.

— Znacie kolego — zapytałem Dawidenko — hr. R.



— Znam ją i bardzo mi jej żal. Mszczą się nad nią czekisci, ponieważ nie chce się zgodzić na ich propozycje. Przetrzymują ją w lesie.

— A jak z jej zdrowiem?

— Źle. Nogi ma poodmrażane. Gdybym się nie bał czekistów, dawnobym już ją odesłał do szpitala. Należy jej się to.

— Zróbcie to dla mnie kolego!

Dawidenko długo się wahał, ale uległ mojej prośbie. Hr. R. przybyła do naszego szpitala. Tu uprosiłem doktora Winogradowa, aby się zajął chorą hr. R. Poczciwy dr. Winogradow przychylił się do mojej prośby i zaopiekował się serdecznie chorą, którą przez półtora miesiąca leczono w szpitalu.

Minął rok 1925. W roku następnym na Sołowkach zaszły poważne zmiany. Naczelną lekarz, pani Feldman, wyjechała do Moskwy, a na jej miejsce przybył doktor Drago. Zmieniła się również komenda obozu. Na miejsce Noktiewa został mianowany naczelnikiem sołowieckich obozów Eichmurz, jego poprzedni pomocnik, na miejsce Eichmurza przybył z Moskwy Martyneli Łotysz; miejsce Waśkowa zajął nowy naczelnik administracyiny Stepanow, naczelnikiem I-go oddziału na miejsce Baranowa został Łotysz Zarin; stanowisko Antipowa, naczelnika II i III obozu zajął Weiss, były komendant G. P. U. moskiewskiego.

Także i w personelu szpitalnym zaszły nagłe zmiany. Przedewszystkiem odiechali ci, co odsiedzieli wyroki swoje na wyspach; między innymi odiechała lekarka, pani M., która przysięgła zemstę tym czekistom, co stracili jej ukochanego, Romana Napolskiego.

Po odjeździe pani M. i doktora Wysockiego, którego przeznaczono do Komi, zostałem przeniesiony przez doktora Drago do oddziału warjatów. Było ich na sali 60-ciu. Nadzorowałem ich przy pomocy dwu młodych sanitariuszy. Wśród obłąkanych odnalazłem barona Sztromberga, z którym przed rokiem rznąłem drzewo w lesie, księcia Oboleńskiego, znanego bogacza z Piotrogradu, Mikołaja Kaznakowa, byłego rotmistrza carskiej armji ita.

Po kilku miesiącach oddział zamknięto, więźniów spokojnych zwolniono, a resztę wywieziono do Leningradu. Nie dojechali oni jednak do b. stolicy carów. Jak się później dowiedziałem, dowieziono ich tylko do Komi i pod miejscowością Saroku, na murmańskiej drodze rozstrzelano. Między innymi padł tam książę Oboleński i Mikołaj Kaznakow. Rozstrzelano ich na podstawie telegraficznego rozkazu Ejchmurza, przesłanego naczelnikowi oddziału w Komi.

Gdy zwinięto oddział umysłowo chorych, przeznaczono mnie do nadzoru nad kwarantanną i urządzania dezynfekcji w obozach. Na tem stanowisku jeszcze lepiej poznałem tajemnicę wysp Sołowieckich, albowiem bardzo często z doktorem Kacew musiałem jeździć po różnych wyspach. Dotarłem niemal do wszystkich obozów i przyjrzałem się wszystkiemu dobrze i dokładnie.

Pewnego razu w czasie podróży z doktorem Kacew spotkał mię wypadek. Gdy przybyliśmy na Sosnową Tonię, dr. Kacew kazał mi udać się z dwoma sanitariuszami do Owsianki, odległej o parę kilometrów od Sosnowej Toni. Ponieważ trudno było tam dostać się łądem, musieliśmy jechać łódką.

W łodzi umieściliśmy przybory niezbędne do dezynfekcji i ruszyliśmy w podróż. Gdy znaleźliśmy się o dwa kilometry od lądu, zerwała się burza, w czasie której łódź nasza niby łupinka została rzucona na pełne morze. Były chwile, że zdawało się, gdy potężne fale uderzały o naszą łódź, już wybiła dla nas ostatnia godzina i że potężne bałwany pochłoną nas na zawsze. Trzydzieści sześć godzin zmagaliśmy się z potężnym żywiołem, oczekując lada chwila śmierci. Ale Bóg czuwał nad nami. Po trzydziestu sześciu godzinach fale wyrzuciły naszą łódź na brzeg wyspy Anzer.

Tymczasem czekałsi byli przekonani, żeśmy uplanowali ucieczkę. Wysłali nawet za nami łódź motorową z uzbrojonymi krasnoarmiejcami. Jakie było zdziwienie czekistów, gdy my sami, zmoczeni do nitki, głodni i wyczerpani, zjawiliśmy się w zarządzie szpitala. Naczelnik administracyjny Stiepanow wszczął nawet śledztwo, chciano nas pociągnąć do odpowiedzialności za planowanie ucieczki. Śledztwo ukończyło się na niczem, dzięki świadectwu doktora Kacewa i sprawę wkrótce umorzono.

Po kilku dniach po tej przygodzie otrzymałem polecenie wyjazdu do II oddziału obozu, Sałatiewa, odległego o 12 klm. od Kremla. Do Sałatiewa wyruszyłem w towarzystwie felczera Milka Brusilowskiego. Tu zaraz na drugi dzień ujrzelśmy: ja, Brusilowski i miejscowy felczer Repin następujący obrazek:

Do pokoju Repina wniesiono człowieka z roztrzaskaną czaszką.

— Kto i gdzie go tak urządził — spytaliśmy ludzi, którzy go przynieśli.

— Na Siekiernej Górze. To naczelnik Siekiernej Góry kolbą karabinu roztrzaskał mu głowę.

Przywieziono go tutaj, ponieważ felczer Repin obsługuje również Siekierną Górę.

Repin i Brusilowski zajęli się pilnie rannym. Okazało się, że czaszka jest kompletnie zmiażdżona i że ranny lada chwila skończy. Rzeczywiście w parę minut później nieszczęśliwy nie dawał żadnych oznak życia.

— Skończył — rzekł Repin.

— Umarł biedak — przytwierdził Brusilowski.

— W imię Ojca i Syna... rozpocząłem pacierz za nieszczęśliwego towarzysza niedoli.

— Trzeba dać znać naczelnemu lekarzowi — zauważył Repin.

— Wyślijcie depeszę — doradził Brusilowski.

Wkrótce druty telegraficzne przeniosły do głównego szpitala smutną wiadomość:

— Dziś o godz. 10 rano naczelnik Siekiernej Góry zabił więźnia.

Naczelnym lekarz Drago oddepeszował.

— Dostarczyć nieboszczyka do głównego szpitala.

Wnet Repin wydał rozporządzenie i wkrótce nieboszczyk spoczywał na furmance. Ruszyliśmy. Gdy ujechaliśmy koło kilometra, spojrzałem na nieboraka.

O dziwo! — nieboszczyk poruszył ustami!

— Brusilowski, nieboszczyk żyje! Rusza ustami!

— Co ty mówisz?! — przestraszył się felczer, zatrzymał konia i zaczął badać czy żyje.

— Żyje — wyrzekł po chwili — ale my będziemy odpowiadać za to, że wystawiliśmy akt śmierci.

Rzeczywiście było się o co kłopotać ze względu na naczelnego lekarza Drago. Ten ostatni bowiem, będąc dopiero od kilku tygodni nie znał „porządków“ na wyspie i każde zabójstwo więźnia przez czekistów skrzętnie opisywał w aktach. Miał je okazać komisji, która corocznie jesienią przybywała z Moskwy na wyspy Sołowieckie dla kontroli. Niektórzy z nas wierzyli, że akta, zestawione przez naczelnego lekarza Drago, poruszą komisję, która pociągnie do odpowiedzialności i ukróci łajdactwa czekistów.

— Więc cóż będzie z tym chorym — zagadnął mię felczer.

— Śpieszmy się — odparłem — może uratujemy mu życie.

— Ale co będzie z nami? Co powie doktor?

— Najwyżej dołożą nam jeszcze po trzy lata i wygonią ze szpitala na ogólne roboty, ale zato uratujemy bliźniemu życie.

Choć powoli, felczer ruszył dalej. Nadzieje moje jednak się nie sprawdziły; ranny zmarł, gdyśmy byli o jeden kilometr od szpitala. Felczer odetchnął.

W szpitalu dr. Drago zrobił akt przeciw zabójcy więźnia. Przez cztery miesiące swego pobytu w szpitalu, aż do komisji z Moskwy, dr. Drago wystawił 14 takich aktów zabójstw, których dopuścili się naczelnicy różnych oddziałów obozu. Kiedy wreszcie komisja kontrolująca przybyła z Moskwy, Drago przedstawił jej wszystkie akta zabójstw, którymi członkowie komisji nie przejęli się jednak zbyt.

— Widać więźniowie — mruknął prezes owej komisji — zasługują, jeśli z nimi tak postępują.

A zresztą my nie przyjechaliśmy wtrącać się do waszych porządków na wyspie.

Więc pocóż przyjechały te wysokie figury sowieckie na wyspę, pocią się fatygował prezes kolegum Kataljenin, jego zastępca Feldman, naczelnik O. G. P. U., spec Wall i pięciu innych członków kolegum? Wkrótce się wyjaśniło. Komisja ta, zamiast rozpatrzyć stan obozów na wyspach Sołowieckich, pomyślała o uprzyjemnieniu sobie czasu, który musiała spędzić na tych wyspach...

Naczelnik północnego obozu, Eichmurz, wydał rozporządzenie Kutuzowowi, kierownikowi oddziału pracy, aby rozkazał swoim podwładnym organom wysyłać codziennie osiem dziewcząt — dla obsłużenia przybyłych z Moskwy członków komisji. Codziennie dziewczęta miały być zmieniane na inne, aby dygnitarze sowieccy nie nudzili się zbyt. Od tej pory rozpoczęło się „urzędowanie“ komisji kontrolującej.

Kiedy dziewczęta przychodziły z baraku, zaczynało pijatykę i... „zabawy“ przy dźwiękach orkiestry, złożonej z więźniów. Towarzysze dygnitarze częściowo siłą, częściowo obietnicą zwolnienia, zmuszali owe dziewczęta do uległości.

Zabawa taka trwała przez 11 dni. Wreszcie komisja skończyła „urzędowanie“ i odjechała do Moskwy. Napróżno dziewczęta, które usługiwały członkom komisji, czekały na przyrzeczone za cenę hańby zwolnienie. Dygnitarze z Moskwy wkrótce zapomnieli o nich...

Jedną z dziewcząt szpitalnych, Lola Pieczalina, którą też zmuszono do „usługiwania“ członkom moskiewskiej komisji, w kilkanaście dni po odjeź-

dzie komisji otruła się. Co ją skłoniło do samobójstwa? Wyjaśnił nam to dokładnie jej list, który przed śmiercią włożyła do szafki z lekarstwami.

„Zhańbiona przez dzikich barbarzyńców — pisała biedna Lola — z komisji, którzy za cenę hańby obiecali mię wyrwać z piekła sołowieckiego i przeto wykorzystali mą naiwność, nie mogąc patrzeć dłużej na okropności, jakie dzieją się na wyspie, na nieszczęśliwe współtowarzyszki, poniewierane w okropny sposób i, ponieważ nie czuję więcej sił do odsiedzenia dziesięcioletniego wyroku, odbieram sobie życie“.

Na wyspach tych widziałem rozmaite łajdactwa administracji i przewrotność władz naczelnych w Moskwie. Za przykład ich kłamstwa i obłudy niech posłuży następujący obrazek, jaki miał miejsce pod koniec 1926 r.

Przybył z wytwórni filmowej w Moskwie kinooperator.

Wywołało to niemałe zdziwienie i domysły skazańców, że bolszewicy chcą pokazać te katusze, które tu przeżywamy, naszym krewnym i znajomym. Pewnego dnia zaczęli dobierać t. zw. statystów i zaczęło się nakręcanie filmu. Najpierw przedstawiono dzieje dawne wyspy, na której znajdowali się polityczni więźniowie i sławni bandyci, cierpiący tu okropne warunki i męczarnie. Zkolei następuje przewrót bolszewicki i wszystko tu naraz zamienia się na raj.

Wybranych i przeznaczonych do filmu skazańców zgromadzono w domach administracji, gdzie nie brak dywanów i miękkich mebli. Jednocześnie sprowadzono z baraków żeńskich kilkadziesiąt ko-

biet i przy dźwiękach orkiestry dętej urządzono zabawę taneczną.

Wszystko to miało na celu, by film pokazał, jak bolszewicy obchodzą się ze skazańcami po ludzku, więcej nawet, bo im zapewniają wszelkie wygody i przyjemności. Oto w takich ramach pokazują ludziom swoje katownie, które dziennie pochłaniają dziesiątki ofiar.

Długo jeszcze po odjeździe komisji łudziliśmy się nadzieją, że komisja zabrała z sobą kilkaset spraw do rozpatrzenia i że choć paru z nas wskutek tego znajdzie się na wolności. Jednak, gdy nadszedł wreszcie grudzień i lody zamknęły żegluge na morzu na 6 i ½ miesięcy, przestaliśmy się łudzić. Zresztą szybko otrzeźwiliśmy pod nowymi razami ciężkiego życia.

A zima z 1926 na 1927 była wyjątkowo ciężka na Sołówkach. W obozie zapanował niedostatek, wszystkim więźniom zajrzała w oczy śmierć głodowa. A stało się to dlatego, że administracja wysp, zamiast przewozić żywność przeznaczoną dla więźniów na Sołówkach, użyła okrętów do przewożenia prywatnych transportów na odcinku Murmańsk — Archangielsk. Wkrótce mrozy skuły w lodowe okowy morze i sparaliżowały ruch okrętów. Dla ratowania sytuacji użyto do przewozu żywności łamacza lodów średniej wielkości.

Ten jednak wkrótce ugrzązł w lodach w odległości 40 klm. od wysp. Wówczas ruszył na pomoc wielki łamacz lodów „Małygin“, który oczyścił drogę i umożliwił mniejszemu łamaczowi zbliżenie się do wyspy. Jednakże im bliżej wyspy, tem lód sta-

wał się grubszy i nawet „Małygin“ nie mógł sobie dać z nim rady.

Wtedy do pomocy łamaczy lodów, wiozących dla obozów żywność, napędzono wszystkich więźniów z wyspy, aby przepiłowywali lód i ułatwiali drogę statkom. Były to naprawdę ciężkie roboty. Nie obešlo się też bez wypadków. Kilku ludzi utonęło.

Po kilku dniach tej ciężkiej pracy, która niewiele zbliżyła łamacze do wyspy, kapitan statku „Małygin“ zwrócił uwagę Ejchmurzowi, że zamiast męczyć więźniów bezowocnie przy piłowaniu lodów, lepiej ich wziąć do przewożenia saniami po lodzie żywności z okrętów na wyspę. Ejchmurz przyznał rację kapitanowi statku. Przerwano pracę przy piłowaniu lodów i napędzono więźniów do wyładowywania worów i pak.

Ponieważ łamacze lodów utknęły na 8 klm. od wyspy, do transportów napędzono i nas ze szpitala. Nie oszczędzono nawet lekarzy. Wszyscy musieliśmy ciągnąć przez owe 8 kilometrów sanki z pakami i tobołami. Po kilku dniach żywność została przewieziona na wyspę i minęła groza głodu.

Wkrótce po wyładowaniu żywności z łamaczów lodu wysłano mię wraz z felczerem Brusiłowskim do VI oddziału, mieszczącego się na wyspie Anzer. Mieliśmy tu przeprowadzić dezynfekcję w żeńskim baraku na Gałgowie. Całą drogę długości 7 kilometrów odbyliśmy sankami po zamrożonym morzu.

Nigdy w życiu nie zapomnę wrażenia, jaki wówczas wywarł na mnie barak żeński. Urządzony on był w dawnej cerkwi i mieścił w sobie 350 kobiet. Wszystkie spały na t. zw. narach, ułożonych w dwa poziomy: parter i pierwsze piętro. Było tu

ciasno i duszno, powietrze wstrętne i kobiety zaniedbane, brudne, w łachmanach pełnych insektów. Nie opłacało się nawet dezynfekować tych zaszronzonych resztek ubrania. Kazaliśmy je spalić, a kobiety, po ostrzyżeniu i umyciu, ubraliśmy w czystą, męską bieliznę. Zadowoleni ze swego dzieła, czekaliśmy na doktora Kaca i naczelnika administracji Stiepanowa, którzy mieli przyjechać później i skontrolować przeprowadzoną przez nas dezynfekcję.

Nie pochwalono nas jednak, przeciwnie spotkała nas surowa nagana za to, żeśmy bez ich pozwolenia spalili tyle „ubrań“. A przecież to były tylko łachmany pełne obrzydliwych insektów. Cóż jednak obchodzi bolszewików zdrowie uwieczonych kobiet?

Kiedy na wiosnę 1927 r. lody spłynęły i otworzyła się na nowo żegluga, doktor Kac zabrał mię z sobą na wyspę Kond, gdzie miał się dowiedzieć, co się dzieje z 478 choremi, których wysłano zeszłego roku późną jesienią, na parę dni przed zamknięciem żeglugi. Z przystani udaliśmy się wprost do szpitala, jakże jednak zdumieliśmy się, gdy zastaliśmy szpital zamknięty. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że lekarz szpitalny dr. Uralski siedzi, wraz ze swym pomocnikiem, w zamknięciu, a z 478 przysłanych chorych więźniów pozostało tylko 123.

— Cóż to za porządki — krzyknął dr. Kac. Wypuścić natychmiast dr. Uralskiego z zamknięcia.

Krzyk doktora Kaca podziałał natychmiast, dr. Uralskiego zwolniono i przyprowadzono do nas.

— Co się tu dzieje panie kolego — zapytał go dr. Kac.

— Dziwne rzeczy rozpoczęły się zaraz po wyjeździe doktora Lipińskiego, którego wymieniono do Polski. Ot, naczelnik wyspy Chaim Rejwo prosto zamknął szpital, a produkty, przeznaczone dla więźniów, obrócił na wyrabianie samogonki.

— A cóż się stało z więźniami?

— Morzeni głodem, umierali jeden po drugim. Tych, którzy upominali się o swoje porcje, Chaim Rejwo kazał rozbierać donaga i sadzać na wieżę cerkiewną. Naturalnie ci wszyscy wymarli. Wielu rozstrzelano. Razem na wyspie zginęło 355 więźniów podczas przerwy w żegludze morskiej.

— A cóż to bydłę Rejwo robi?

— Pije z krasnoarmiejcami do utraty przytomności i po pijanemu rozstrzeliwuje ludzi.

Dr. Kac zacisnął zęby: zabrał się do spisywania szczegółów okropnych zbrodni, których dokonywał na wyspie Kond Chaim Rejwo. Po powrocie na wyspę Sołowiecką dr. Kac złożył szczegółowy raport o łajdactwach Rejwy naczelnemu lekarzowi Drago.

— Ano spróbujemy coś z tem zrobić — rzekł dr. Drago, który podczas swego krótkiego pobytu na wyspie Sołowieckiej spisał 1224 aktów zabójstw, dokonanych przez straż na wyspach.

— Wprawdzie — ciągnął dalej — nie udało mi się temi zabójstwami zainteresować komisji kontrolującej, która w zeszłym roku na jesieni przybyła tu z Moskwy, ale jeszcze raz spróbuję. Pojadę sam do Moskwy. Może coś wskóram i poprawię to nieszczęsne położenie więźniów.

Istotnie, wkrótce wyjechał do Moskwy i dokumenty przedstawił głównemu prokuratorowi So-

wietów — Krylence i zastępcy głównego komendanta G. P. U. Mieźnyńskiemu Jagodzie.

Po kilkunastu dniach dr. Drago powrócił na Sołówki i opowiedział pod sekretem jednemu z doktorów-więźniów, jak skargę potraktowali Krylenko i Jagoda. Obaj pochwalili postępowanie Rejwy.

— Gdyby było więcej takich — mówili Krylenko i Jagoda — jak Rejwa, dawno już skończylibyśmy z wewnętrzną kontrewolucją. Nagroda mu się należy, a nie kara, a ty, doktorze, jesteś za miękki.

Istotnie wkrótce Rejwa dostał awans i przeniesiono go do miasta Groznoj na Kaukazie na stanowisko naczelnika O. G. P. U.

Im większy zbir, im krwawszy kat, tem szybciej awansuje w Sowietach.

Po powrocie z wyspy Kond pracowałem nadal w szpitalu i miałem sanitarny nadzór nad kwarantanną. Napływ więźniów w 1927 roku był olbrzymi, prawie co tydzień okrety przywoziły po 600 do 700 ludzi. Wtedy przybyło na wyspę Sołowiecką wielu księży katolickich, jak np. z Piotrogradu księża: profesor seminarjum ludowego Białogłowy, Trojgo, Chomicz, Iwanow oraz staruszek ks. Wasilewski; z Ukrainy księża: dziekan Ilgiu, Kryweńczyk, Fedorowicz, Wąsowicz, Sawiński; z Białorusi księża: Łubiański, Żołnerowicz i wielu innych, których nazwisk dziś nie pamiętam. Ks. Wasilewski, po kilku miesiącach pobytu w Sołówkach, został skazany na zesłanie do środkowej Azji. Pozostałych księży czekałszy zapędzili do robót. Kilku z nich mianowano stróżami, a resztę skierowano do robót w lesie przy zrzynaniu drzewa.

Kwarantanna, przy której pracowałem, była urządzona przy trzynastej kompanji w gmachu byłego soboru Troickiego w Kremlu. Był to olbrzymi gmach, mogący pomieścić 1000 więźniów. Ponieważ żadnych urządzeń w nim nie było, więźniowie spali na narach, lub też na podłodze kamiennej. Dach b. cerkwi był dziurawy i podczas deszczu woda wdzieriała się strumieniami do sali kwaterunkowej, tworząc na posadzce kałuże i błoto, w którym musieli spać więźniowie.

Nic dziwnego, że nowi więźniowie, spróbowawszy tych „rozkoszy“ w kwarantannie, tracili ochotę do życia. To też wielu więźniów odbierało sobie życie. Bardzo często, gdym rano wchodził do sali kwarantanny, zastawałem martwych już samobójców. Jeden powiesił się na kracie okna, drugi poderżnął sobie gardło, trzeci otruł się arsenikiem i t. d.

Takie wypadki zdarzały się bardzo często. Strasznie ciężko pracować było w takich warunkach, bo bardzo często nerwy, choć człowiek był przyzwyczajony do najrozmaitszych okropności, odmawiały posłuszeństwa. Ileż razy przysięgałem zemstę czerwonym katom, którzy, siedząc na wygodnych fotelach gdzieś w Moskwie, Leningradzie czy Mińsku, posyłali na śmierć i okrutne cierpienia dziesiątki tysięcy ludzi.

Na jesieni 1927 roku zawezwano mnie do kancelarji obozu i oznajmiono, że mój pobyt na wyspach skończył się i że mogę opuścić wyspy. Pozwolono mi wybrać na osiedle gubernję woronezką.

Przed odjazdem z wysp Sołowieckich starałem się dowiedzieć, możliwie najdokładniej, ilu więź-

niów przeszło przez tę katownię sowiecką w czasie mego trzyletniego pobytu na Sołówkach. Według statystyki, prowadzonej przez zarząd obozów, przebywało przez owe trzy lata na wyspach 23.400 więźniów. Z tej licznej armji nędzarzy zginęło 9.600 więźniów. Do tej cyfry włączam również zamordowanych przez czekistów. Zwolniono w owym czasie 3.200 więźniów.

W kilka dni po oznajmieniu mi o zwolnieniu z wysp Sołowieckich, kiedy już przekazałem swe prace szpitalne następcy, zostałem wezwany na okręt. Była to chwila radosna, ale zarazem i smutna. Cieszyłem się, że wreszcie opuszczę te przeklęte Sołówki, jednakże serce krajało mi się na myśl, że setki Polaków i Polek pozostają jeszcze w tej katowni, skazanych na męki i upokorzenia. Jakżeż przykro było patrzeć na ich smutne, a życzliwe twarze! Radzi, że jeden z braci Polaków wydostaje się z katowni sowieckiej, a mimowoli rodziła się w ich głowach myśl, powlekająca smutkiem twarze, kiedy ich spotka to szczęście. Czy doczekają tej radosnej chwili, czy przetrzymają męki, które codziennie obmyślają bolszewicy, czy szkorbut, lub jakaś inna choroba nie złoży ich tu, zdaleka od Ojczyzny, na tej przeklętej ziemi do grobu?

— Opowiedz w Polsce, jakie my tu przeżywamy męczarnie. Niech społeczeństwo dowie się, jak wygląda państwo komunistyczne — szeptali mi wszyscy.

Wkrótce rozległ się donośny głos syreny okrętowej i ruszyłem szlakiem, prowadzącym do swobody i wolności. Długo patrzyłem

z pokładu okrętu na malejące coraz bardziej budynki więzienne, w których tyle ciężkich dni spędziłem. Powoli zniknęły mi w oddali. Wówczas zwróciłem się myślą ku przyszłości.

— Czy długo kaci sowieccy pozwolą mi się cieszyć wolnością? Czy naprawdę skończyły się już moje katusze? Zali Czeka wypuści mnie całkowicie ze swych krwiożerczych łap? Oto pytania, które mnie zaczęły męczyć na progu wolności.

O północy przybyłem do Kemi i rano po odpoczynku nocnym udałem się do miejscowego szpitala, aby pożegnać się ze znajomymi. Tu zastałem doktora Wysockiego, którego zeszłego roku przeniesiono z wyspy Sołowieckiej do Kemi. Przy powitaniu zauważyłem ze zdziwieniem, że doktor nie ma dwu palców u prawej ręki.

— Co się stało, panie doktorze?

— O! To cała historia, panie Mieczysławie. Jak pan pamięta: ja, felczer Adelski, inż. Kurczewski i dwu czekistów wyjechaliśmy z Sołówek do Kemi motorówką już po zamknięciu żeglugi morskiej. Szła wtedy duża kra, a mróz i wichur dokuczały na dobre.

Niebardzo nam się poszczęściła ta podróż. Niedaleko wysepki Remboty chwyciła nas gęsta kra i zniosła o kilkadziesiąt kilometrów na północ. Tam „zatarło“ nas w lodach tak, że w żaden sposób nie mogliśmy się z nich wydostać. Dopiero po siedmiu dniach ciężkiego zmagania się z lodami zdołaliśmy się wydostać na niezamknięte jeszcze wody. Trzeba było przejechać 150 kilometrów mo-

torówką, aby się dostać do Kemi. Zmęczeni walką zasypialiśmy. Felczer Adelski zamarzył podczas snu na śmierć i musieliśmy jego ciało wyrzucić do morza. Ja, zdrzemnąwszy się, odmroziłem sobie palce u rąk i nóg. Gdyśmy wreszcie po różnych niebezpiecznych przygodach przybyli do Kemi, powędro-



wałem do szpitala i tu byłem na łożu. Dwa i pół miesiąca ciężko chorowałem. Amputowano mi dwa palce u prawej ręki, dwa palce u lewej nogi i duży palec u prawej nogi.

— Jakżeż panu doktorowi powodzi się w Kemi?

— Bardzo często zwiedzam komenderówki Puranda, Uchtę, Niedźwiedzią Górę i inne. Panie Mie-

czysławie, tu dzieją się rzeczy jeszcze gorsze, niż na wyspach. Tu codziennie mordują dziesiątki ludzi...

— Rad jestem — rozpoczął dalej doktor — że wyrwał się pan z tego straszного piekła. — Jakie ma pan plany na przyszłość?

— Wstąpię po drodze do Moskwy i udam się tam do Polskiego Czerwonego Krzyża, aby się dowiedzieć, w jaki sposób otrzymać pozwolenie na powrót do kraju.

— Cieszę się bardzo — odpowiedział doktor — że pan chce wrócić do kraju. Trzeba, żeby pan wrócił jak najprędzej i opowiedział jak najwięcej swoim znajomym, jak wygląda ustrój komunistyczny w Rosji, jak znęcają się nad ludem czerwoni kaci.

— I ja pragnąłbym wrócić do Polski. Mieszkam już w Rosji dwadzieścia lat; wywieziono mnie z Polski, gdy miałem zaledwie 9 lat. W roku 1920 bolszewicy rozstrzelali mego ojca. Mieszkaliśmy w Rosji nad Donem, gdzie kończyłem właśnie gimnazjum. Później wstąpiłem na uniwersytet, a w 1925 roku zostałem lekarzem. Wciąż człowiek siedzi w tej gnijacej Rosji.

— Do kraju, do Polski ciągnie mnie, boć. aczkolwiek wychowałem się w Rosji, kocham Polskę całym sercem, kocham lepiej, aniżeli niejeden z tych, co z niej dobrodziejstw korzystają. Nauczyła mnie kochać Polskę moja matka staruszka.

Istotnie, dr. Wysocki na każdym kroku dawał przykład patriotyzmu polskiego. Każdy Polak, który się dostał do szpitala, mógł liczyć na serdeczną opiekę i pomoc i to w każdej chwili. Pamiętam, jak na Sołówkach zaopiekował się chorym Polakiem, Władysławem Malarzem. Wszyscy lekarze i felcze-

rzy byli przekonani, że Malarz lada chwila skończy i że nie warto go wobec tego leczyć. Doktor Wysocki uparł się i do ostatniej chwili leczył Malarza, póki go ostatecznie nie wyleczył.

— Pamięta pan, panie doktorze, Malarza Władysława, któremu uratował pan życie. Niezadługo i on będzie powracał z wysp.

— Cieszę się, że go zobaczę. A do pana, panie Mieczysławie, mam prośbę. Jak pan będzie w Moskwie, proszę wstąpić do mojej matki i pozdrowić ją serdecznie ode mnie. Mieszka ona w okolicach Moskwy... Tu podał mi szczegółowy adres.

Kemi był ostatnim punktem, przypominającym wyspy Sołowieckie. Na nich też zakończę swoje opowiadanie.

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć nazwiska Polaków, którzy za moich czasów zostali rozstrzelani na wyspach Sołowieckich. Nie jest to, naturalnie lista kompletna, boć niejedno nazwisko wyleciało mi z pamięci. Oto nazwiska rozstrzelanych Polaków:

1) Napolski Roman, 2) Dec Franciszek, 3) Łukasiewicz Piotr, 4) Fedorowicz Tadeusz, 5) Michałowski Zdzisław, 6) Świdorski Feliks, 7) Sidor Jan, 8) Moraczewski Stanisław, 9. Krzyżanowski Józef, 10) Murawski Władysław, 11) Lisowski, 12) Żurawski, 13) Gruszka Jan, 14) Kozłowski Edward, 15) Czajkowski Zygmunt, 16) Piotrowski, 17) Dębiński Henryk, 18) Florczak, 19) Żołnarewicz i inni.

NA „WOLNOŚCI“.

W dwa dni po wyruszeniu z Kemi, przybyłem do Leningradu, dawnej stolicy carów. Zatrzymałem się tu, ponieważ miałem kilku znajomych b. więźniów, którzy mieszkali w tem mieście. Po drodze do znajomych, rozglądałem się na wszystkie strony. Cieszyło mię miasto, podniecał ruch i jego tętno. Wszak ja przeszło trzy lata przebyłem zdala od środowisk cywilizacyjnych, zdala od wolnego życia. Ale im bardziej wpatrywałem się w miasto, im więcej przyglądałem się ludziom, tem więcej widziałem twarzy smutnych, zatroskanych, a nawet załęcznionych. Naogół w oczach wszystkich czaił się smutek, a na ustach rzadko pojawiał się radosny uśmiech. Wkrótce dojrzałem w tem wielkiem i pięknem niegdyś mieście duże braki. Główne ulice Leningradu, jak Newski Prospekt, ul. Litiejna i inne, pełne były śmieci i brudu. Jezdnie pełne dołów i wybojów, chodniki porozbijane. A i ludzie niezbyt pięknie byli odziani: w każdym razie sądząc z ubrań nie wyglądali na mieszkańców stolicy, ale raczej na drobnych małomieszczan z pięciorzędnego miasteczka. Nie brakło też oberwańców, odstrasających swoim widokiem.

Po dość długiej wędrówce po Leningradzie, odnalazłem swoich znajomych, którzy ucieszyli się

ogromnie i winszowali mi, że zdołałem się wydostać z katowni sołowieckiej.

W tej chwili nie osiągnąłem jeszcze upragnionego celu, jakim było wydostanie się z Bolszewji do Polski.

Wprawdzie ciężar wielki spadł ze mnie z chwilą, gdy mnie zwolniono z Sołówek, jednak trapiła mnie myśl, czy podstępni kaci nie zechcą mię włóczyć po różnych więzieniach, jak to oni mieli we zwyczaju w podobnych wypadkach. Okazało się wkrótce, że zostałem skazany na przymusowe zamieszkanie w gubernji penzeńskiej bez prawa opuszczania miejsca pobytu.

Nie straciłem jednak nadziei, że wydostać się muszę z tej zgnilizny i błota bolszewickiego i snułem plany ucieczki do kraju, który w tej chwili przedstawiał mi się prawdziwym rajem i istotnem marzeniem mego życia.

Okoliczności wreszcie się złożyły i szczęśliwie zdołałem zbiec do Polski.

Wówczas dopiero odetchnąłem całkowicie. Przejścia w Bolszewji ukazały mi się jak sen jakiś ciężki, o którym się z przykrością wspomina.

Postanowiłem jednak spisać te pamiętniki, by uświadomić rodaków, czem jest Rosja obecna, jak wygląda ten „raj bolszewicki“ i jaką zagładę niosą czerwoni władcy Kremla dla cywilizacji świata.
